CENA ZŁ 20

Baranowicz — German — Pannenkowa — Pogan — Żukrowski

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW — KATOWICE



NUMER 31 (193) — KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 21 SIERPNIA 1949 ROKU — ROK V



MIKOŁAJ KOPERNIK

Wiem ja dobrze, Ojcze święty, że skoro tylko niektórzy się dowiedzą, że ja w dziele moim o obrotach ciał niebieskich przyznaję kuli ziemskiej pewne biegi, zaraz oni na mnie powstaną i potępią to moje zdanie ...

... jeżeli się przypadkiem znajdą lekkomyślni, którzy nieobeznani z żadną częścią matematyki zechcą wszelako o każdej sąd swój dawać, powołując się na pewne miejsca Pisma świętego, źle do tego celu naciągnione i ośmielą się dzieło moje ganić i potępiać, oświadczam, iż o takich wcale nie dbam, tak dalece, że nawet ich sądem, jako płochym, gardzę ...

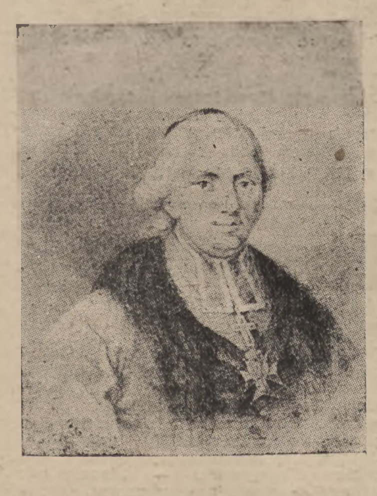
Do Jego Świętobliwości Pawła III, z przedmowy do dzieła „O obrotach ciał niebieskich".



ZYGMUNT KRASIŃSKI

Muszę tu dodać, że inny jeszcze najazd był złowieszczy dla światła i wzlotu geniuszu Polski. Był to najazd jezuitów, którzy przez długi czas kierowali sumieniem naszych monarchów i wychowaniem ich poddanych. Wprowadzony przez nich pedantyzm scholastyczny wywołał uwiąd wszystkich kwiatów, które mogły wyróść na niwie polskiej. — Chciwi władzy i wielkości zawładnęli wychowaniem w całej Polsce. Łacina ich, pełna barbaryzmów i obrazowych wyrażeń, stała się powszechnym językiem mieszkańców. Wtrącono, ca prawda, dużo polszczyzny, lecz mieszanina ta popsuła jeno język jeden i drugi; skutkiem tego było, że tak rzekę, znikczemnienie naszej literatury i skażenie mowy naszej.

Z listu do pana de Bonstetten o stanie obecnym literatury polskiej.



BISKUP IGNACY KRASICKI

I śmiech niekiedy może być nauką,
Kędy się z przywar, nie z osób natrząsa;
I żart dowcipną przyprawiony sztuką,
Zbawienny, kiedy szczypie, a nie kąsa.
I krytyk zda się, kiedy nie z przynuką,
Bez żółci łaje, przystojnie się dąsa,
Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych,
Śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych.

Wojna mnichów, pieśń V.

WILHELM SZEWCZYK

A człek nieprzyjacielem nie będzie człowieka

NA LINII NIEMIECKIEJ

Eugeniusz Pacelli, urodzony w Rzymie 2 marca 1876, wyświęcony na kapłana 1899, długie lata był urzędnikiem watykańskich instytucji kościelnych. 1917 rok przynosi mu purpurę biskupią, w tym samym roku idzie jako nuncjusz do Monachium, później do Berlina, kardynałem mianowany zostaje na konsystorzu grudniowym roku 1929, w styczniu zaś 1930 zostaje sekretarzem stanu. Nazwany *arcymistrzem dyplomacji*, sławą tą cieszy się w Rzymie i w Niemczech po dzień dzisiejszy. Dzięki jego staraniom i dobrym stosunkom z wieloma wpływowymi Niemcami republiki dochodzi do podpisania konkordatu między Prusami a Watykanem, nazwanego co prawda na życzenie Prus ostrożnie układem państwowym (Staatsvertrag). Dochodzi do tego ważnego aktu *„mimo wściekłego oporu komunistów, żądających nawet zerwania konkordatu bawarskiego z r. 1925, mimo nacisku socjalistów"*, jak czytamy u polskiego kronikarza tych wydarzeń (x. Nikodem Ludomir Cieszyński w „Rocznikach Katolickich na rok 1930). 14 czerwca 1929 premier Braun i nuncjusz Pacelli kładą podpisy na akcie, który daje Niemcom nową pozycję w świecie katolickim. Pacelli doprowadził do zawarcia obu konkordatów, zarówno z Bawarią jak z Prusami. Konkordat z Bawarią dawał kościołowi ogromne wpływy, zwłaszcza na terenie szkolnictwa, stanowił źródło nowych ogromnych dochodów. Konkordat z Prusami, nie obejmując całokształtu stosunków kościelnych, pomijał sprawy szkolnictwa, ale za to ustanawiając nową organizację biskupstw dawał Niemcom pewną ilość nowych wysokich dostojników kościelnych, powiększał ich znaczenie na terenie Watykanu. Powstaje przede wszystkim nowe biskupstwo w Berlinie, gdzie dotąd była jedynie zależna od Wrocławia delegatura. Biskupem Berlina zostaje ks. dr Chrystian Schreiber, dotąd biskup miśnieński, który wbrew twierdzeniom wspomnianego wyżej kronikarza polskiego był wrogiem katolików słowiańskich, o czym najlepiej świadczą łużyckie memoriały, mówiące o ucisku narodowym, organizowanym także przez Schreibera, zarządzającego katolicką częścią Łużyc.

W tym czasie arcymistrz dyplomacji kardynał Eugeniusz Pacelli ma już w Niemczech ugruntowaną pozycję jako przyjaciel Niemiec. Sława tego rodzaju nie była jedynie wynikiem troski o rozwój kościoła katolickiego w Niemczech. Rodziła się ona z licznych prywatnych kontaktów nuncjusza, poprzedzała coraz liczniejsze dowody sympatii Pacellego dla Niemców, stanowić będzie o jego konsekwentnej linii politycznej, stawiającej na Niemcy jako czynnik nie tyle rozwoju kościoła w Europie, ile równowagi. W tym czasie Pacelli ukazuje się jako wróg Polaków. Nie inaczej bowiem można nazwać jego całkowity prawie brak zainteresowania dla spraw kościelnych polskiej mniejszości narodowej na terenie Niemiec. *„Memoriał dotyczący spraw kościelnych polskiej mniejszości narodowej w Niemczech"*, wydany przez Związek Polaków w Niemczech, Berlin 1929, notuje sporo wypadków pospolitego bezprawia, dokonywanego na parafianach narodowości polskiej przez księży niemieckich. O wypadkach tych informowany nuncjusz kilka zaledwie razy raczy pokwitować odbiór pisma, przekazując je do zbadania odnośnej instancji kościelnej. W żadnym prawie wypadku nie nastąpiło całkowite wyjaśnienie sprawy a przecież chodziło tam o księży-złodziei, którzy brali pieniądze na polskie msze, by zamiast nich odprawić niemieckie, o księży-bandytów, którzy wobec działaczy polskich, domagających się polskich nabożeństw, wypowiadali ss-owskie „Umbringen", wykończyć !

Toczona przed miesiącami na łamach pism polskich dyskusja na temat zachowania się papieża Piusa XII w stosunku do sprawy polskiej w okresie wojny, mimo pewnych dowodów, przytaczanych przez stronę katolicką, nie przekonała większości katolików polskich o pozytywnym jego stosunku do naszej sprawy narodowej. Zeszłoroczny zaś list Piusa XII do biskupów niemieckich i tegoroczne jego przemówienie potwierdziły nasze przypuszczenia, że papież kroczy konsekwentnie po linii niemieckiej, że z drogi tej nie zboczył ani w okresie hitlerowskim, ani w okresie wojny. Sprawa polska w okresie wojny była dlań takim samym marginesem kościelnym co za jego nuncjatury na terenie Niemiec. Po wojnie zaś mianowanie w roku 1946 trzech kardynałów spośród arcybiskupów niemieckich, skompromitowanych współpracą z hitleryzmem, było jedynie dowodem, jak obce były Watykanowi z papieżem na czele problemy walki z faszyzmem i jak drobne znaczenie ma polska hierarchia kościelna w porównaniu z niemiecką, niosącą nowe polityczne nadzieje.

W ubiegłym roku zdumieni katolicy polscy czytali list papieża do biskupów niemieckich, w którym mowa była o bezprzykładnym w historii wysiedleniu Niemców ze wschodnich prowincji niemieckich, o nadziei zmian i powrotu wysiedleńców niemieckich do swoich wschodnich krain. List był konsekwentny w swoim negowaniu praw polskich do odszkodowań terytorialnych, konsekwentny w swej sympatii do Niemców, konsekwentny w realizowaniu naczelnej papieskiej tendencji politycznej, dążącej do podziału Europy przy pomocy ponownego skłócenia dwóch sąsiedzkich narodów, przy pomocy wzmocnienia obozu rewizjonistów niemieckich wiarą i nadzieją i błogosławieństwem papieskim. Przed miesiącem zaś bardziej jeszcze zdumieni wysłuchaliśmy przemówienia papieża do mieszkańców Berlina, w którym były nuncjusz Pacelli przypomina swe sierpniowe kazanie z roku 1926 do mieszkańców Berlina. *„Mówiliśmy o gigantycznie wzrastającym przemyśle Berlina, o jego kulturze materialnej"* — ale nie mówiliśmy — trzeba by uzupełnić to wspomnienie — że gigantyczny przemysł Berlina rozwijał się w kierunku wojny, że kultura materialna tego miasta, nad którego zniszczeniem tak papież boleje, służyła zbrodni, z niej czerpiąc dalsze siły, ku niej zwracając cały swój wysiłek. I znów akcent na *„rzeszy wygnanej ze swej ojczyzny"*, o której wiemy dobrze, że nie zawsze pracuje nad odbudową Niemiec, wspólnie z postępowymi robotnikami, wichrząc rewizjonistycznie, czekając dnia sądu nad Polakami. *„Tym, co miłują Boga, wszystko wychodzi na dobre"* — cytuje papież przykazanie na przyszłość „ukrytą i nieznaną". A cytat ten brzmi dla rewizjonistów niemieckich nie tylko jak błogosławieństwo. *Wypowiadany w tych warunkach politycznych, do takich rzesz niemieckich zatraca swoją treść ewangeliczną a staje się polityczną wskazówką.* To już nie: „stójcie po stronie Boga i jego Kościoła a będziecie mieli lepszą przyszłość" — ale: „stójcie po mojej papieskiej stronie". Bo wszystko to jest jedną polityczną akcją, deklaracją bynajmniej nie religijną. I dlatego wszystkim, którzy obserwowali poczynania papieża wobec Niemców na przestrzeni ostatnich lat trzydziestu, wszystkim, którzy zapisywali jego skąpe słowa z okresu wojny, którzy wreszcie zdumiewali się nad jego powojennymi wystąpieniami, — było rzeczą jasną, że krąg politykierski bynajmniej się nie zamyka, że oczekiwać należy dalszych zdecydowanych wystąpień.

NA LINII ANTYROBOTNICZEJ

A oto równocześnie prawie ogłoszono światu w Acta Apostolicae Saedis powziętą na tajnym posiedzeniu kongregacji sanctii officii w dniu 28 czerwca 1949 uchwałę o ekskomunice.

Ustawą przeciw robotnikom — nazwała ją demokratyczna prasa świata. Rzeczywiście ustawa ta zwróciła się przeciw milionom robotników, których katolicyzm nie przeszkadzał im współpracować z partiami postępowymi, do których należy także partia komunistyczna. Świat zniszczony przez faszyzm, trwający na swych resztówkach tam, gdzie błogosławieństwo papieskie łączy się z amerykańskim kapitałem (Hiszpania), przystąpił zaraz po wojnie do wielkiego dzieła odbudowy. Udział wzięli w nim robotnicy wielu krajów i narodów a także księża demokratyczni, co daje nam szczególnie radosną nadzieję jedności wszystkich sił postępowych, bez względu na miejsce ich działalności. Partie postępowe a wśród nich komunistyczna (także i na terenie ulubionego przez papieża Berlina) stanęły na czele tej wielkiej ofensywy odbudowy, połączonej z ofensywą pokoju. Cóż jest bardziej chrześcijańskie od tych dwóch pojęć, w okresie, który nastąpił po straszliwej wojnie? A jednak uchwała watykańska, zwracając się przeciw milionom, biorącym udział w tej gigantycznej akcji ulepszenia świata, działanie ich uważa za sprzeczne z interesami Kościoła. Do tego uproszczonego wniosku mamy prawo, jeśli zauważymy, że partie komunistyczne — zwłaszcza w krajach demokracji ludowych — wyłącznie prawie skierowały główny swój wysiłek ku odbudowie gospodarczej i kulturalnej swych krajów i odbudowie pokoju w świecie.

Uchwała watykańska nie jest zatem uchwałą, wynikającą z troski o dobro Kościoła. Jest dalszym ciągiem watykańskiej akcji politycznej, która, w ręku filoniemieckiego papieża, od wyrazów sympatii dla pokrzywdzonych przez wojnę Niemiec przeszła do uderzenia w cały blok narodów, w blok ludzi związanych jedną myślą o pracy, odbudowie i pokoju. Sprawa komunizmu jest tutaj tym samym straszakiem, którym jest na terenie Ameryki w walce z postępem. Sprawa komunizmu jest tutaj tylko pretekstem do przeniesienia najzwyklejszych zapasów politycznych na teren religii, do udzielenia im tej całej pomocy i wzmocnienia, które wynika z dostojeństwa i wagi Stolicy Apostolskiej wśród rzesz ludzkich świata.

I dlatego, gdy gorliwiec ks. Alojzy Fajstl spod Litomyśla w Czechosłowacji odmówił Sakramentów Świętych umierającej 67-letniej Zofii Paclikowej z tego tylko powodu, że staruszka należała do czechosłowackiej partii komunistycznej, sądy czechosłowackie zasądziły go na 8 lat ciężkich robót. I dlatego w krajach demokracji ludowych podniosły się raz jeszcze głosy o wolności sumienia i o prawach do religii, o prawach do Sakramentów Świętych tych wszystkich wierzących obywateli, którzy całe swoje siły poświęcają odbudowie zniszczonych krajów, którzy wspólnie z komunistami pracują nad odbudową niezniszczalnych nie tylko w pojęciu katolicyzmu wartości ludzkich, potwierdzających się w pracy i w służbie bliźniemu, społeczeństwu, ludzkości. I dlatego wreszcie polityczny czyn Watykanu w niczym nie może przeszkodzić dalszej konsekwentnej naszej pracy, współpracy katolików z komunistami, demokratycznych księży z ustrojami, które wynikły z woli mas pracujących. Słusznie powiedziano, że podział bynajmniej nie biegnie *według schematu wierzący i niewierzący*, ale biegnie wyraźną ostrą linią między obozami postępu i obozami reakcji. Watykan *politycznie* przeniósł się do obozu reakcji. Sentymenty niemieckie dopomogły nie tylko papieżowi do zdeklarowania się. Wiemy o tych sentymentach także i wśród kapitalistów angloamerykańskich, wiemy o nich wśród reakcji francuskiej, która po uchwale watykańskiej rozpoczęła dziki sadystyczny taniec wokół szlachetnych księży, współpracujących z komunistami francuskimi.

My zaś kroczymy śladami Stasziców — przeczytaliśmy w prasie polskiej.

WIELOWIEKOWY BUNT POLAKÓW

Śladami Stasziców, to znaczy śladami postępowej przeważnie katolickiej myśli polskiej, która ma odległą tradycję, która z niejednym papieżem, przeciwnym naszym interesom narodowym i kumającym się z wrogami wolności, toczyła zacięty bój. Już Ostroróg w swych *Uwagach o naprawie Rzeczypospolitej* zauważa, że *„ilekroć w diecezji nowy biskup zostaje obrany, nie obiera sakry, jak za opłatą poprzednio papieżowi w Rzymie złożoną z kilku tysięcy czerwonych złotych"*, a więc Polska jako źródło dochodów Watykanu, z czym walczyć będzie musiał jeszcze Adam Mickiewicz. Na Reja nie będziemy się tu powoływać, bo znany był ze swej wolnomyślności. Ale już wspomnieć warto twórcę prześlicznej pieśni pokory „Czego chcesz od nas Panie", który uznając wielkość Boga ani chwili nie mylił się w ostrej ocenie urzędników kościelnych, rodzimych i rzymskich. No i Józef Wybicki (*„Oni to (Jezuici) rzucili nasienie zguby naszej politycznej, które nam wydało owoc hańby i niedoli"*), i Niemcewicz, i autor pieśni „Kiedy ranne wstają zorze" i „Bóg się rodzi" i „Wieczornych spraw", śpiewak Judyty, Franciszek Karpiński (*„księża po większej części zepsuci, psuli razem lud sobie powierzony, a naczelnicy ich, biskupi, publicznie trzymając nałożnice, ośmielali niższych, ażeby szli takąż samą, słodką wprawdzie, ale najbrudniejszą drogą...*). I ks. Stanisław Staszic wreszcie, którego śladami pragnie iść nasza współczesna myśl katolicka. On to w poemacie swym „Ród ludzki" zapisał słowa, jakby ze współczesnych naszych wysnute rozważań.

A człek nieprzyjacielem nie będzie człowieka,
Swe zbójeckie przekuje w sierp, lemiesz żelazo.
Odtąd się nie przybliży do Twego oblicza
Próżniak burzliwy z ciała, a z duszy nikczemny;
Ani to człowieczeństwa bezecne straszydło,
W którym duch złakomiony, oraz pychą dęty
Znieważa, napastując Bóstwo, by wspierało
W niszczeniu ludów tysiąc srogie czyny jego,
Ani się pozuchwali wejść do Twej świątyni
Z opluszczonymi świeżo krwią ludzką rękami
Ten wojarz, co za pomoc do zabójstw, łupiestwa,
Dziękując niebu gromów nie zląkł się, bluźnierca,
I zdzierstw połowę kładzie na Bóstwa ołtarzu.

(Dokończenie na str. 2)

KAROL OKOŃSKI

Kościół wojujący w Niemczech

Święte officium uznało znowu raz za potrzebę wystąpić politycznie. Natchnęło ono papieża do ogłoszenia listu pasterskiego do Niemców i do wygłoszenia przemówienia radiowego do berlińczyków. Rzecz zrozumiała, że tym samym zwraca się papież nie tylko do Niemców, a już w najmniejszym stopniu do samych berlińczyków. To, co on powiedział i napisał, przedstawia wartość dla wszystkich katolików na całym świecie. Ich to bowiem przywódcą duchowym jest papież. Nieomylny w sprawach wiary. I jako zastępca Boga na ziemi musi on pełną treść listu pasterskiego i przemówienia radiowego pokryć swoim imieniem.

Jesteśmy dzisiaj o parę stuleci dojrzalsi politycznie. Lata ostatnie były gorzkimi latami nauki, które każdy musiał przeżyć. Ale też nauczyliśmy się czegoś. Stoimy teraz na własnych nogach. Dostosowujemy nasz aparat państwowy do potrzeb wszystkich obywateli. Pozbyliśmy się uprzywilejowanej warstwy panów. Jesteśmy właśnie w toku pozbywania się także opieki duchowej. Uczymy każdego obywatela czytać i pisać, ażeby sam mógł zdobyć wiadomości o wszystkich sprawach na świecie. Im więcej wiedzy, tym mniej zabobonu. Lecz, niestety, papiestwo opiera się na bardzo wielu zabobonach. Jest wykrzywieniem zdrowej myśli, która bez wątpienia tkwiła w pierwotnym chrystianiźmie.

I z tego powodu papiestwo boi się uświadomienia, obudzenia zdrowego ludzkiego rozumu, którego już dzisiaj nie można więcej usunąć przy pomocy inkwizycji i palenia na stosie. Musi się więc papież rozglądnąć za innymi pomocnikami. Tym razem są nimi Amerykanie, którzy zasadniczo wierzą tylko w moc dolara i w każdym nabożnym katoliku widzą biednego półobłąkańca. Następnie Anglicy, którzy już przed paru wiekami zerwali z kościołem katolickim i stworzyli własny kościół narodowy. Są więc według poglądu Watykanu wiarołomnymi odszczepieńcami. I Niemcy.

Ci Niemcy stanowią w historii kościoła katolickiego zagadnienie szczególne. Przez wiele stuleci byli przedmiotem potężnych zmagań między państwem a kościołem, między cesarzami i książętami a papieżem. Walki te zaś nigdy nie były toczone tylko w sposób duchowy. Pewną rolę odgrywał tu zawsze miecz. Prawda, że prawo kanoniczne mówi, że każdy kapłan, który przelewa krew, staje się niegodnym swojego powołania. Ale papież Juliusz rzadko kiedy wychodził ze zbroi, a kardynał Borgia został zabity w chwili, gdy zdobywał jakieś miasto. Niemiecki cesarz Henryk musiał trzy dni boso i we włosiennicy stać przed Canossą. Dopiero wtedy przebaczył mu papież i pozwolił mu ucałować swoje stopy. A wnuk tego cesarza, Conradin, został w dniu 29 sierpnia 1268 roku stracony w Neapolu. Za zgodą papieża Klemensa IV.

A kiedy nastała reformacja i przecięła Niemcy na dwie części, protestancką i katolicką, zaczął się nowy okres walki o władzę. Papież nie wystąpił więcej jako naczelny wódz. Nie władał mieczem otwarcie i osobiście. Ale dyplomacja Europy pozostawała zawsze pod wpływem kurii. Podburzano jeden naród przeciwko drugiemu. I właśnie Niemcy ucierpiały pod tym względem najbardziej. Wojna trzydziestoletnia była zdecydowaną wojną religijną. Od tego czasu poozstała linia Menu jako wyraz antagonizmu między Niemcami północnymi a południowymi. A dyplomacja papieska potrafiła doskonale podniecać ten antagonizm. Na większą chwałę Boga.

W swojej mowie w pruskiej izbie panów zarzucił Bismarck w dniu 10 marca 1873 papieżowi, że podburzył Francję do wojny w roku 1871 a Austrię do wojny w roku 1866. Był wówczas kanclerzem Rzeszy i na tyle można mu już zaufać, że znał te sprawy. Biskup Ketteler z Moguncji przyczynił się już w roku 1871 do założenia w Niemczech partii Centrum, która potem przez 62 lata reprezentowała interesy papieża i kościoła katolickiego w niemieckim Reichstagu. Często nawet na przekór interesom katolickich obywateli. Ci bowiem byli i są jeszcze dzisiaj tylko przedmiotem watykańskiej polityki rodzinnej. Ta zaś kieruje się tylko tym, co w danej chwili dogodne. Nie przeszkadzała jej zażyła przyjaźń z wolnomularskim i ewangelickim królem pruskim Fryderykiem II, a równocześnie ostry spór z bardzo katolickim cesarzem Józefem II, który wyprosił sobie mieszanie się papieża do spraw politycznych Austrii.

Także republika weimarska rozbiła się o papieża. To prawda, że we własnoręcznie pisanym liście nazwał on socjaldemokratycznego prezydenta rzetelnym i uczciwym człowiekiem. Ale już w pierwszych dniach republiki utrudniano rządowi życie wcale nieźle. Na wskroś katolicki minister Erzberger nie utrzymał się, ponieważ nie chciał iść razem z papieską grupą parlamentarną wokół Kaasa. Już podczas puczu Kappa w roku 1921 byłby się rozstrzygnął los rządu Eberta, gdyby Kapp nie był ewangelikiem i Prusakiem.

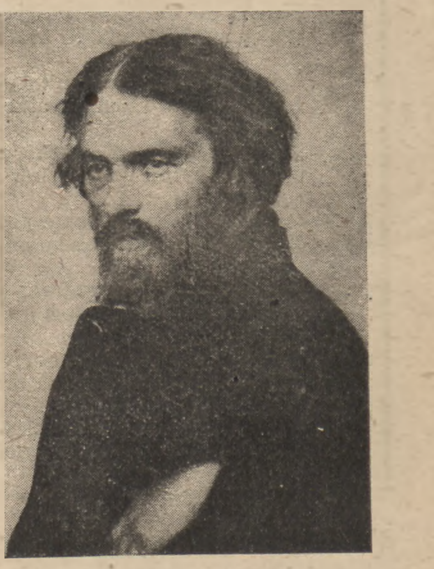
Całą godzinę trzymano w mieście Hof na bawarskiej granicy pociąg nadzwyczajny, który miał zbiegły z Berlina rząd Eberta przewieźć do Stuttgartu. Bez przerwy grał telegraf między Hofem a Monachium. A pociąg ze wszystkimi niemieckimi ministrami, sekretarzami stanu, posłami i wszelkimi przynależytościami stał pod dozorem bawarskiej „Volkswehry". Wtedy opowiedział się odłam papieski w Centrum jeszcze za Ebertem, przeciwko Prusakowi Kappowi.

W parę lat później powiał inny wiatr. Znaleziono katolickiego kandydata na wodza. Adolfa Schickelgrubera z Braunau, zwanego Hitlerem. Jego protektorzy siedzieli w izbie panów około Papena i Meissnera. Z nimi to związał się prałat Kaas, mąż zaufania Watykanu. Zmusił on stronnictwo Centrum w Reichstagu do głosowania za pełnomocnictwem. I w ten sposób stworzył Hitlerowi podstawę prawną dla jego dyktatury. Papież i jego doradcy ponoszą więc pośrednio winę za straszliwe nieszczęście, które nawiedziło Europę i cały świat.

Oto jest polityka rodzinna Watykanu. A jej skutki? Kulturalne zacofanie we wszystkich krajach katolickich. Jakaż różnica między USA a Ameryką Łacińską, między północnoeuropejskimi krajami a Europą południową? Niemcy podzielone pod względem wyznaniowym linią Menu. Na pewno ma przeciętny berlińczyk znacznie trzeźwiejszy umysł aniżeli prosty monachijczyk.

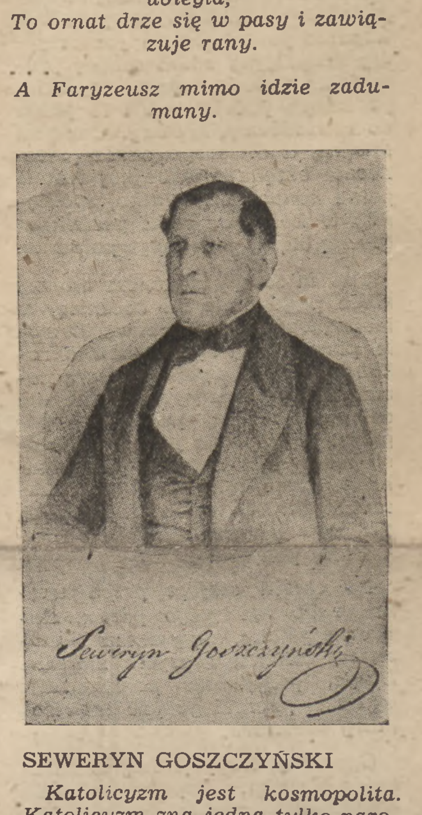
Ale Niemcy mają obszerną literaturę. Umieją czytać i znają historię. Wiedzą, że od zacofanego papiestwa niczego rozsądnego nie mogą oczekiwać. Nie trzeba więc przypuszczać, że list pasterski papieża i przemówienie radiowe do berlińczyków zostaną przez społeczeństwo niemieckie przyjęte bezkrytycznie.

Karol Okoński.



CYPRYAN NORWID

Dewocja krzyczy: „Michelet wychodzi z Kościoła!"
Prawda; dewocja tylko tego nie spostrzegła,
Że za kościołem człowiek o ratunek woła,
Że kona — że, ażeby krew go nie ubiegła,
To ornat drze się w pasy i zawiązuje rany.
. . .
A Faryzeusz mimo idzie zadumany.

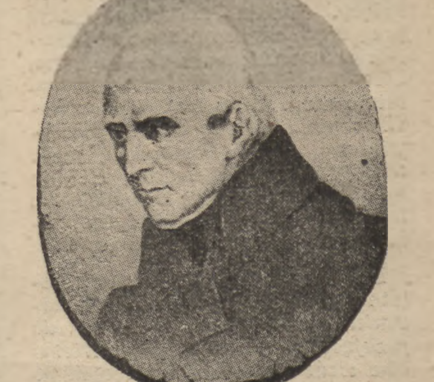


SEWERYN GOSZCZYŃSKI

Katolicyzm jest kosmopolita. Katolicyzm zna jedną tylko narodowość: katolicką — inne albo zaciera albo nie troszczy się o nie.

Katolicyzm jest egoista. Stosownie do tego ma politykę właściwą sobie, swoim tylko dobrem kierowaną. Każe on Sobieskiemu, odłożywszy na bok wzgląd na własną ojczyznę, wzmocnić groźniejszego, niż Turek, sąsiada, dla interesu katolicyzmu — każe Warneńczykowi łamać przymierze dla tegoż interesu. O to mniejsza — ale dla interesu katolicyzmu wyklnie tychże Polaków, walczących o wszystkie swoje świętości domowe, zmieni księży w szpiegów austriackich, w narzędzie katów. Popędzi całą Europę do Azji dla rozszerzenia swojej potęgi, zniszczy Amerykę, poburzy nawet ludy przeciwko własnym ich panom, ażeby papież mógł im deptać po karkach, ale w potrzebie wsparcia od królów, też same ludy na pastwę im odda...

1841.
„Moralne podstawy sprawy polskiej".



KS. STANISŁAW STASZYC

Polaku, którykolwiek masz duszę i myślisz, tu zawstydź się i zadrżyj. Zniszczyliśmy miliony ludzi bez pożytku dla kraju. Ustawą pańszczyzny uczyniliśmy i tych wszystkich ludzi, którzy się nad wymiar gruntu urodzą, niepotrzebnymi w naszej wsi...

Macież wy serce! I wy jesteście chrześcijanie! Oszczercami są nie nauczycielami wiary Chrystusa ci wszyscy kapłani, którzy wam taką naukę podali i którzy wam powiadają, że chociaż tak bezecnymi, tak okrutnymi żyjecie, możecie jednać się z Bogiem i stać się uczestnikami łask tego, który jedynie z miłości człowieka umarł. Zapowiadam wam, że jeżeli Bóg jest sprawiedliwy, nie może być w oczach jego zbrodni większej nad zbrodnię waszą!

Przestrogi dla Polski.

JAN BARANOWICZ

Dźwigi w porcie gdyńskim



Dźwigi — gdyńskie żorawie, o szyjach jak maszty,
stalowymi głowami kołyszą nad miastem.

Głębią pojemnych dziobów, w których moc dygoce,
karmią brzuchy węglowców w spokojnej zatoce.

W lukach burt jak w stawiskach z zachłannością chorą
łowią małże skrzyń ciężkich, tłuste leszcze worów.

Dziwią się barwnym flagom, gdy na kształt motyli
fruną nad pokładami, które trud pochylił.

Toczą się bez spoczynku po torach wagony,
Ciasno w gardlach silosom, ciecze z ruf sok słony.

Warczą śląskie wiertarki, poznańskie młockarnie,
sposobi szynki dzików bór i udźce sarnie,

łąka torf, kosze rzeczne posyła wiklina,
Z kapitańskiego mostku śmieje się marynarz

egzotyczny i ręką, szeroką jak wiosło,
pozdrawia brzemię portu, co z piachów wyrosło —

A gdzie w noc drży jak gwiazda latarnia Rozewia
dymią grząskim oparem niebosklonu trzewia;

wiozą parowce — morskiej wielbłądy pustyni —
świeże jadło żórawiom, głodnym ptakom Gdyni.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

UROKI

Czterdzieści minut pociągiem od Wrocławia jest mała stacyjka Henryków. Ledwie ucichnie stukanie wagonów, ostatni gwizd lokomotywy pochłoną wzgórza porosłe lasem już czujemy wakacyjny smak sennej prowincji. Oprócz nas jest wszystkiego dwóch podróżnych i to jeden do zawiadowcy, krewny. Ćwierka telegraf w otwartym oknie, metalicznie brzęczą w bujnej trawie polne koniki. Czyściutko, spokojnie; w kolorowe lejki petunii sączy się błękit pogodnego południa.

Tuż za stacją wejdziesz między kloce podłożone na bocznicę, w mocną woń tartego drzewa. Drwale parami siedzą na nich okrakiem, strugają żywiczną korę ponakiwą, gwarzą stare wąsate chłopy, zakurzą papierosa, popatrzą w niebo na jastrzębia, który nad wielkie koła zatacza pod obłokiem. Cicho, łąki dzwonią, a czasem cięższy koń kąsany przez bąki, gniewnie uderzy kopytem o burtę kowany podjazd.

Po chwili stajesz przed wejściem do rozległego parku, słoneczne polany, kępy drzew liściastych, ciemne, szczególnie zielenie. Długa, przyjemna przechadzka, wreszcie poprzez gałęzie zaświecą mury klasztoru.

Ogromny, trzypiętrowy czworobok z ciężkim, wasyzki romańskim kościołem. Zdaleka dobiega nieustanny świergot dziecięcych głosów, zmieszane melodie piosenek, gwizdy i nawoływania.

To część opustoszałego klasztoru zajęto na kolonie letnie dla dzieci T. P. D., dzięki temu nie tylko uzyskuje się, ale wprost ratuje przed zniszczeniem zabytkowy budynek. Długa była droga od zakonnej wspólnoty po dzisiejszy dzieciniec, można ją jednak łatwo z murów odczytać.

— Historia opactwa henrykowskiego wygląda tak — mówi jeden z cystersów — ojciec Jan. — Już w 1292 roku Bolko Surowy, książę piastowski sprowadził tu Cystersów, mieli oni zgodnie z regułą służyć Bogu modłami, a ludowi jako instruktorzy rolni, specjaliści od sadownictwa, pszczelarstwa i racjonalnie stosowanych płodozmianów.

Klasztor został bogato wyposażony, w jego władaniu było dwadzieścia trzy tysiące hektarów, o potędze Henrykowa świadczy liczba zakonników — było ich coś siedmiuset, w tym ponad dwustu księży. Pomimo zniszczeń jakie przyniosły najazdy tatarskie, okolica odbudowywała się szybko, Ziembice, Świdnica tętniły życiem. Mimo nieustannych sporów o dziesięciny, o schede między piastowiczami, wojen i tępieskich, jakie toczyły miasta sąsiednie, Henryków rósł w potęgę i bogactwo. Dobudowano nowe skrzydło, umocniono warownie klasztoru.

Dopiero po wojnie trzydziestoletniej cesarski dekret o rozwiązaniu zakonów doprowadził do przejęcia Henrykowa przez Niemców wraz z tytułem książęcym po wygasłych Piastach. Klasztor został zamieniony na pałac magnacki, w rozległym parku hodowano sarny i daniele, zakładano bażantarnie.

Alejami krążyły powozy, grały kapele, strzelnie ognie sypały garściami gwiazd, a hukiem pękały race nad wieżami kościoła. Mijały lata, przeszumiały rzęsiste jesienne ulewy, szklanymi kwiatami ponaczyły się na szybach mroźne zimy. Kolejno ku uldze pańszczyźnianych chłopów kładli się do dębowych trumien dziedzice Henrykowa. Aż jednej zimy inne światła zamigotały nad bezlistnym parkiem. Z płaczem zaczęła się ucieczka grafów. Rakiety bliskiego frontu, mruczenie dział dokoła obiecywały. Wreszcie mówiły o bliskim końcu wojny, o klęsce Niemiec.

W opuszczonym pałacu kwaterowały uchodzące oddziały SS. Potem wlewali się zwycięscy.

Wkońcu po korytarzach zadudniły kroki pierwszego repatrianta, który szukał tu może resztek mebli, czy przydatnego żelaza.

Patrzył ze zdziwieniem na orły piastowskie i te czarne z półksiężycem śląskim, na freski renesansowe wyglądające spod łuski spękanego wapna.

— Przyszło nas trzech — mówił ojciec Jan — dwóch braci i jeden ksiądz. Mamy piękny klasztor w Strzyżycu, słynny z doskonałego piwa, drugi mamy w Mogile pod Krakowem, trzeci w Jędrzejowie, świeżo przejęty, jeszcze w ruinie.

Przyszło nas trzech z Krakowa, gmach tu ogromny, więc wypadało więcej jak po sto pokoi na każdego. Zwykle mówić by byśmy pałac utrzymali i zagospodarowali. Opanowaliśmy tylko kościół, a żeby resztę zabezpieczyć od ruiny wezwaliśmy na pomoc Radę Powiatową i Wojewódzką, przysłały fundusze i pałac uratowano. Znowu uprzątnięto gruz i śmieci, oszklono okna, naprawiono podłogi. Dziś stanęły setki łóżek, gromady dzieci bawią się w parku. Nic przyjemniejszego samotnie człowiekowi, jak słyszy je za ścianą, tupią drobne kroki po korytarzach, głośno rozbrzmiewa wieczorny śpiew.

Idziemy obejrzeć wnętrze kościoła, piękny barok henrykowski. Gęstwa drewnianych rzeźb, niezłoconych, pełnych ruchu, postacie kardynałów, świętych i rycerze, mieszanina niemal ludowego snycerstwa z wzorami dojrzałej sztuki włoskiej. Wspaniała krata w złocone lilie, tak lekka, że zatraca poczucie materiału, z którego została wykuta, nie poznaje się już żelaza. Nad naszymi głowami w szczytach ołtarzy skaczą wróble ćwierkającą gromadą.

— Nie mogę ich wypłoszyć, mówi gniewnie cysters, nie mogę dać sobie rady z tym drańsiwem ... Dzieci wybiły powypadały szyby i z witraży i teraz ta banda mi tu rozzuchwała ... Paskudzą mi po Świętych, na grobowcu Bolka Ziembickiego jakeśmy tu nastali było na dłoń tajna ...

— Popatrz, — woła nagle poeta Tadeusz Zelenay — tam coś w kaplicy przebiegło ... Wyglądało jak duży ptak ...

Myślałem, że ma zwidzenia. Ale nie, za ołtarzem siedział nastroszony orzeł. Groził dziobem i syczał, gdyśmy do niego wyciągali ręki. Było coś władczego w żółtych oczach drapieżnika.

— Skąd on się wziął tutaj?

— Trzymam go specjalnie, — usprawiedliwiał się zakonnik — od czasu do czasu wypuszczam na kościół, żeby się z wróblami rozprawił, rozedrze ich z dziesiątek, a w kościele przez tydzień spokój i czysto.

Na zworniku gotyckiej kaplicy widnieje polski herb — Rogala, połączone dwa rogi, łosia i bawołu. Pod ścianą wspaniałe gotyckie sarkofagi pary książęcej — Bolka II Ziembickiego i jego żony z domu Tręczyńskiej. Na tarczy, którą książę ściska kamienną ręką, otwiera skrzydła orzeł, polski, piastowski orzeł.

Nie musiał być nasz książę zbyt surowych obyczajów, jeśli nawet na nagrobku przez pierś w pancerzu przewija się taśma z jednym słowem — amor, amor, amor ... Miłość to, ale wyraźnie, nie amor Dei, bo taśma spięta jest klamrą w kształcie kobiety. Szkoda, że twarze małżonków uległy zniszczeniu, kamień zmurszał i rysy się zatarły, może z nich łatwiej byłoby odczytać prawdziwy charakter księcia.

Na ołtarzach ku zbudowaniu wiernych stoją w oszklonych barokowych relikwiarzach, szczerbate czaszki, okruchy piszczeli, ale w czasie wojny trzydziestoletniej tyle razy były przetrząsane, że w autentyczność ich trudno wierzyć.

Wychodząc z kościoła uniesiesz pod powieką obraz drewnianych postaci w gestach niemal tanecznych, lekkich; bardzo swojskich i kamiennych orłów kładących polską pieczęć na historii tej ziemi.

Gdy zamykaliśmy drzwi, żegnał nas żałosny krzyk skrzydlatego więźnia i gwałt wróbli, miotających się w girlandach drewnianych owoców, między wzniesionymi rączkami pyzatych aniołków.

W korytarzach pałacowych stoją piękne renesansowe szafy, widnieje napis jeszcze poklasztorny — prośba o zachowanie powagi — SILLENTIUM.

Wbrew temu wezwaniu gwar. Właśnie do refektarza wlewa się ruchliwa struga trzymających się za ręce dzieci. Obsiadają stoły, wychowawczynie wnoszą dymiące wazy z zupą. Dzieci przyglądają nam się uważnie.

— Czy one nie robią tu szkody, pytam ukradkiem.

— Wszystko zależy od wychowawców, odpowiada dyrektor, wystarczyło że dzieciom wytłumaczyli wartość zabytków, a już jedno drugie zaczyna pilnować. Same zabierają się do porządkowania komnat. Same zbierają rozproszone po parku resztki zbiorów. Czują ciągłość historii ...

Poprowadził nas przez sale, w których stały wspaniałe włoskie piece, jakie widziałem tylko na Wawelu, do korytarza — gdzie ciemniały kształty siedemnastowiecznej sikawki strażackiej, ogromna skomplikowana maszyna, bodajże jedyny okaz w Polsce.

— Warto by ją przetransportować do jakiegoś muzeum, ale jak? Chyba na lorze? Bo do wagonu się nie zmieści ...

Usłyszałem za oknem radosne głosy. Wspiąłem się na palce, dojrzałem przez kratę jak gromada chłopców stawiała na podwórzu maszt i zawieszała polską flagę. Rozsypane jak stado wróbli dziewczęta kucały, oczyszczając z trawy kamienne flizy pałacowego podwórza.

Odchodząc aleją parku słyszałem jak jedna z grup dziecięcych na apelu śpiewała: — „polski my naród, polski ród, królewski szczep piastowy!"

W starych murach henrykowskiego pałacu, brzmiały te słowa szczególną prawdą. Czułem jak mocne uczucia zaczynają wiązać młodzież z dziedzictwem Piastów, ze Śląskiem. Łatwo młodym przyjdzie zbliżyć się do tej ziemi, bo każdy zakątek przypomina bohaterską przeszłość narodu, polską mową przemawiają kamienie, rzucają dobre uroki. Tę ziemię musi się pokochać, bo jest po prostu piękna.

WOJCIECH ŻUKROWSKI.

IRENA PANNENKOWA

Powracająca fala

Chcąc zdać sobie sprawę z procesów historyczno - społecznych i wynikłych stąd podstaw realnych, które umożliwiły skuteczną rewindykację dawnych ziem polskich po Odrę i Nysę, należy cofnąć się wstecz conajmniej o stulecie. Mimo kilkuwiekowych — po oderwaniu od Polski — wpływów germańskich, mimo szczególnych wysiłków germanizacyjnych Fryderyka II, — jeszcze przed 100 laty ziemie te przeważnie albo w znacznej mierze miały charakter polski.

Gustaw Freytag, urodzony w r. 1816 w Kluczborku (Kreuzburg), na pograniczu Górnego i Dolnego Śląska, wydał w r. 1886 pamiętniki, w których znajdujemy ciekawe dane o stosunkach etnicznych na tej ziemi w jego dzieciństwie i młodości (**„Erinnerungen aus meinem Leben"**).

Powiat kluczborski należał do najwcześniej i najbardziej zniemczonych powiatów górnośląskich, jednak jeszcze w 1910 r. liczył 53,1 proc. Polaków, pod koniec zaś pierwszej połowy XIX wieku był, jak wynika ze wspomnień Freytaga, w znacznej przewadze polski, tak, iż niemieccy lekarze, prawnicy, duchowni, protestanccy nawet, musieli władać i władali mową polską, by móc się porozumieć z ludnością.[1]) Powiat ten graniczy od wschodu z Wielkopolską i b. Kongresówką, toteż nacisk żywiołu polskiego od wschodu dawał się odczuwać i bywał przedmiotem rozmów w napływowych tam kołach niemieckich, które, mimo wszystko, nie mogły w tych warunkach czuć się najpewniej.

Freytag więc opowiada, że gdy, jako chłopiec, wyjeżdżał z rodziną do znajomych do Byczyny, położonej przy samej **„polskiej granicy"**, lubił wybiegać za miasto, na pagórek, skąd rozciągał się widok na gęsty ciemny las, zamykający horyzont od wschodu. **„Ciekawie"** spoglądał w tym kierunku, bo wiedział, że za tym lasem **„leży Polska, kraj niesamowity (das unheimliche Land), o którym często się wtedy mówiło"**.

Dla Niemców istotnie, czy to dla mężów stanu, jak Fryderyk II lub Bismarck, czy dla szarych ludzi, Polska to był zawsze **„kraj niesamowity"**, niepokonana nigdy zmora złego sumienia, zawsze groźna, dla Prus zwłaszcza, nawet gdy stały u szczytu potęgi — najgroźniejsza.

Freytag pisał te słowa, gdy Prusy stały właśnie u szczytu potęgi, a Polska, zdawało się, zdruzgotana była zupełnie i na zawsze. Zapewne ani nie przypuszczał, że zaledwie minie lat 30, a ów **„kraj niesamowity"**, ukryty za tajemniczym lasem — niby za szekspirowskim **„lasem Birnamskim"** — ruszy dla odzyskania swego prawowitego dziedzictwa, które też obejmie częściowo, a w ćwierć wieku potem — całkowicie, po Odrę. Etniczna fala polska, która się z odwiecznego macierzystego łożyska swego cofnęła pod sztucznym a przemożnym naciskiem niemieckiego najeźdźcy, po wiekach powróciła.

Jak to się dokonać mogło?

*

W ostatniej ćwierci XIX i w początkach XX w. coraz potężniejsza i sprawniejsza machina germanizacyjna pruska coraz usilniej, nie przebierając w środkach, (masowe wysiedlania, historia „wozu Drzymały" i dzieci wrzesińskich, Hakata i fundusz kolonizacyjny, dodatki kresowe, antypolska akcja kleru niemieckiego i t. d. i t d.) pracowała nad osłabieniem polskiego i wzmocnieniem niemieckiego elementu na t. zw. niemieckim wschodzie. Pracowała nie bez pewnych pozytywnych, do czasu, rezultatów, jak świadczy m. in. plebiscyt w Kluczborku, gdzie znaczna część ludności polskiej głosowała w r. 1919 za Niemcami.

Jednakże ten sztucznymi mechanicznymi środkami wywołany na powierzchni życia potężny prąd germanizacyjny i eksterminacyjny pod jawnie rzuconym hasłem: „Ausrotten"! — już na przełomie stuleci XIX i XX uderzać począł o jeszcze potężniejsze przeciwne prądy głębinowe, zrodzone z wielkich podstawowych przemian społecznych. Były to:

1. prąd rozbudzonej i pogłębiającej się świadomości narodowej, która jak płomień ogarniała coraz szersze masy ludowe polskie na ziemiach dawnego zaboru pruskiego, a łączyła się z rozbudzonym też poczuciem krzywdy społecznej wśród robotników i chłopów polskich, uciskanych i wyzyskiwanych przez przemysłowców i junkrów pruskich;
2. niemniej żywiołowy i nieustanny odpływ niemieckiej ludności tego obszaru na zachód, przy jednoczesnym napływie i dużym też przyroście naturalnym ludności polskiej, znacznie od niemieckiego większym;
3. postępujące procesy gospodarcze, akcentujące coraz mocniej łączność życiowych interesów tego obszaru z polską macierzą, jak również beznadziejną słabość sztucznej jego więzi z rdzennym obszarem niemieckim. Stąd w znacznej mierze rodziły się wspomniane prądy migracyjne.

Już po pierwszej wojnie światowej, wobec zarządzenia plebiscytu na Górnym Śląsku, delegat polski na konferencję pokojową w Paryżu oświadczył Radzie Najwyższej dn. 5 czerwca r. 1919:

„Nie przeczę, że znaczna część ludności polskiej Górnego Śląska może w plebiscycie głosować za Niemcami... Powiem więcej: gdyby zarządzono tam plebiscyt lat temu kilkadziesiąt, napewno by cała ludność za Niemcami głosowała. Bo wówczas świadomość narodowa polska wśród tej ludności zaledwie zaczynała kiełkować. Ale... pod wpływem postępu oświaty idzie samorzutny szybki rozwój tej świadomości... Jeżeli w dzisiejszym jego stadium połowa ludności odda jeszcze głosy za Niemcami, to ten postęp... przecież się nie zatrzyma,... pójdzie dalej. I jutro, na tej należącej do Niemiec ziemi synowie będą przeklinali ojców, że głosowali za Niemcami".

Przepowiednia ta spełniła się. A oto dowody.

Niemcy, rzucając się pod naporem armii radzieckiej do panicznej ucieczki w r. 1945, pozostawili różne swoje tajne dokumenty w archiwach Ziem Odzyskanych, częściowo już ogłoszone przez Instytut Zachodni albo Śląski albo przez Zachodnią Agencję Prasową (ZAP).

Otóż ZAP w serii ogłoszonych przez siebie dokumentów (Nr. 23 MP, 25. III. 1947) publikuje m. i. **tajny raport Prezydenta Rejencji w Pile (Schneidemühl) do Gestapo, datowany 20 grudnia 1937 r.**

Stwierdza się tam, że Polacy **„przy pomocy polskich twierdzeń naukowych"** starają się **„przekonać opinię światową" o swoich prawach do odzyskania terenów do Odry"**, i że to przekonanie szerzy się też wśród miejscowej ludności.

Dla ilustracji przytacza się dwa wypadki:

„Żona polskiego robotnika zarzuciła w sprzeczce niemieckiemu kolonistcie, że jego posiadłości znajdują się na ukradzionej polskiej ziemi... Polski robotnik pytał drugiego, gdzie przebiega granica między Polską a Niemcami, ten zaś mu odpowiedział: „we Frankfurcie nad Odrą".

I konkluzja:

„Tylko z największym niepokojem zestawiać można przyrost (polskiej) mniejszości z ubywaniem ludności niemieckiej".

Jeszcze ciekawszy jest ogłoszony tamże dokument drugi: **„Sprawozdanie sytuacyjne, przesłane Prezydentowi Rejencji w Pile przez Gestapo z Frankfurtu nad Odrą z 30 października 1937 r. opatrzony podpisem: „Poufne".**

Czytamy tam:

„Największym orężem polskim w walce o narodowościowe szerzenie się jest olbrzymia nadwyżka w przyroście naturalnym... w rodzinach polskiego pochodzenia... W południowej części pogranicza osiągnęła ta fala Züllichau, idąc przez Kramzig, względnie Posenbrück—Bomzt, i będzie tylko kwestią czasu, aż dojdzie do Odry. Tym samym ziściłoby się marzenie Polaków, którzyby chcieli w Odrze widzieć swoją granicę zachodnią".

W pozostawionych we Wrocławiu aktach niemieckich „Prowinzverwaltung von Niederschlesien" znaleziono m. in. **czasopismo „Ostdeutsche Heimat"**, gdzie w słynnym, wielokroć już cytowanym, N-rze I z r. 1931 na str. 2 jest artykuł, poświęcony zagadnieniu **stałej masowej ucieczki Niemców** z t. zw. „wschodu niemieckiego" na zachód.

Autor powołuje się tam na opinię znanego niemieckiego geopolityka, profesora uniwersytetu w Monachium, gen. majora Karla Haushofera, który tę „ucieczkę" nazywa **„największą wędrówką ludów po wojnie, a zarazem najbardziej brzemienną w skutki stratą na całym niemieckim pograniczu"**. I prof. Haushofer ostrzega, że **gdy się tej „ucieczki" nie zahamuje, to „za 20 lat Łaba będzie wschodnią granicą Niemiec"**. („in 20 Jahren ist die Elbe Deutschlands Ostgrenze!").

„Na pęd ten — pisze dalej autor artykułu — **liczy długofalowa polityka polska, jako na czynnik, który nawet bez wojny i bez międzynarodowych zabiegów nieuchronnie wtłoczy kraj, leżący poza Odrą, w strefę polskiej siły rozrodczej i polskiego osadnictwa"**. Niebezpieczeństwo — stwierdza dalej autor niemiecki — polega po pierwsze **„na niezdolności niemieckiej do zasiedlania ubogich w ludność prowincji nadgranicznych niemieckimi chłopami, którzy by mieli wiarę w przyszłość i przywiązanie do (tej) ziemi"**, — po drugie — **na wytwarzaniu się (wskutek wskazanych faktów) na b. wschodzie niemieckim „niżu demograficznego", niemożliwego na dłuższą metę do utrzymania" wskutek ciśnienia wyżu demograficznego na sąsiednich przeludnionych ziemiach polskich".**

Dajmy teraz głos liczbom.

Wedle źródeł niemieckich, w okresie 1843—1933 ubyło ze wschodnich obszarów dawnych Niemiec wskutek emigrancji osób 4,509.000[2]), a w czasie tylko 1933—1939, więc w ciągu ostatnich lat sześciu przed wojną 250.000 osób[3]). Czyli, bez zewnętrznego przymusu, ostatnio nawet wbrew hitlerowskiemu naciskowi, który z powodu podniesionych alarmów szedł w kierunku zaludnienia rolniczych obszarów wschodnich, **w ciągu lat niespełna stu „uciekło" b. „niemieckiemu wschodowi" okrągło około 4,750.000 ludzi.** Można więc mówić o procesie stałego i zupełnie dobrowolnego przesiedlania się Niemców z tych ziem na zachód.

Cały ten prąd emigracyjny ujęli badacze niemieccy w dwa określenia, w których tkwi też częściowe jego wyjaśnienie: **„Landflucht"** i **„Ostflucht"** — ucieczka ze wsi do miast i ucieczka ze wschodu na zachód. O ile pierwsze zjawisko znane jest też gdzieindziej w Europie, zwłaszcza we Francji, i znane są jego przyczyny, to drugie, obok mniej lub więcej świadomych motywów psychologiczno-politycznych, ma swoje podstawy gospodarcze, o których będzie mowa w rozdziale następnym.[4])

Ubytek ludności niemieckiej wskutek stałej emigracji był na tych terenach tym bardziej groźny, że jednocześnie gwałtownie spadał jej przyrost naturalny: w Niemczech w ogóle w ciągu lat 30, od 1900 do 1931, zmniejszył się więcej niż trzykrotnie, — gdy ludność polska zachowuje, poza nieznacznymi wahaniami, na ogół wysoką rozrodczość. W związku z tym autor niemiecki, Ringel, pisze:

„Pomorze polskie podwyższa swoją liczbę ludności corocznie o 1,6 proc. Przyrost ludności jest tu więc 18 razy większy niż na niemieckim Pomorzu wschodnim. Przy tym rozwoju sytuacji nie można się dziwić, że Polak już dziś patrzy na niemieckie Pomorze, jak na „przestrzeń bez ludzi". (Bei dieser Entwickelung ist es nicht verwunderlich, dass der Pole heute bereits in Pommern einen „Raum ohne Volk sieht".

A Heinz Rogman poważnie ostrzega:

„...Historia uczy, że nigdy jeszcze nie dało się zahamować ekspansji jakiegoś narodu środkami polityczno-administracyjnymi wówczas, gdy ekspansja była wywołana przeludnieniem własnego obszaru i zarazem pustką obszaru sąsiedniego".[5])

Słynny niemiecki geograf-ekonomista, profesor uniwersytetu lipskiego, **dr Wilhelm Volz**, w r. 1930, więc jeszcze przed objęciem władzy przez Hitlera, kiedy jeszcze można było w Niemczech w badaniach i wnioskach naukowych zachować pewien obiektywizm, ogłosił, wielokrotnie potem przytaczaną, zwłaszcza w tajnych memoriałach niemieckich, książkę p. t. „Die Ostdeutsche Wirtschaft" („Gospodarka wschodnioniemiecka"), gdzie powołuje się na fakt, że w ciągu ostatnich lat 85 (do r. 1930) trzy tylko prowincje wschodnie (Pomorze odrzańskie, Śląsk i Prusy Wschodnie) straciły 2,559.300 osób — a to mimo napływu 400 tysięcy uciekinierów i optantów z Polski, Czechosłowacji i krajów bałtyckich.

Liczby te — pisze autor — stwierdzają nieupiększonymi słowami, że niemiecki wschód w ciągu ostatnich trzech (?) generacji, utracił w materiale ludzkim jedną całą prowincję (str. 42).

W związku z tym, nawiązując do słynnego wtedy już hasła: „Volk ohne Raum!" — hasła, pod którym Hitler miał potem rozpętać wojnę w poszukiwaniu rzekomo Niemcom potrzebnej „przestrzeni", — Volz stwierdza, (na str. 34):

„T u n a w s c h o d z i e musielibyśmy określenie „V o l k o h n e R a u m" odwrócić, tu bowiem mamy „p r z e s t r z e ń b e z l u d z i (Hier im Osten, müsste man das Wort umdrehen; hier ist „R a u m o h n e V o l k").

Na wschodzie zjawisko to występowało w sposób szczególnie jaskrawy. Ale czy znaczy to, że na niemieckim zachodzie natomiast było istotnie za dużo ludzi? Nie, skoro tenże prof. Volz, na str. 43 mówiąc o najgęściej w Niemczech zaludnionym Zagłębiu Ruhry, konstatuje, że także ono **„samo przez się nie może zapewnić sobie dostatecznych sił roboczych"**.

Teraz więc odsłania się druga strona medalu zagadkowej niemieckiej rzeczywistości:

Któż więc uprawiał na b. „niemieckim wschodzie" tę rolę, z której tak masowo uciekali niemieccy chłopi? kto też dostarczał sił roboczych, brakujących nawet w głównym ośrodku przemysłowym na niemieckim zachodzie?

Odpowiedź wiadoma: ci, którym naprawdę brakło ziemi, wydartej im przez Niemców, i brakło wskutek tego środków do życia: polska emigracja sezonowa, której część osiadała na „niemieckim wschodzie" na stałe.

Angielski historyk gospodarczy J. H. Clapham przytacza podany w 1908 r. przez obserwatora angielskiego opis szczególnie ciężkich warunków, w jakich musieli pracować obcy robotnicy rolni, w ogromnej przewadze Polacy, na ówczesnym niemieckim wschodzie: **„Nie wiele się tam rozczulają nad nimi. Serdecznie się ich nie lubi, ale się ich uważa za zło konieczne. Potrzebni byli nie tylko w dużych majątkach, wielu też chłopów niemieckich, właścicieli jakichś 150 do 250 akrów ziemi na błotnistych osadach Prus i Pomorza, zatrudniało po garści Polaków".[6])**

Chłopi polscy w tych ciężkich warunkach pracowali, z marnych zarobków oszczędzali, a za oszczędności kupowali ziemię, albo po powrocie w stronach rodzinnych, albo, coraz częściej, na terytorium dzisiejszych naszych Ziem Odzyskanych.

Toteż niemiecki pisarz, Sering, stwierdza fakt, że **„rząd, mimo kolosalnych środków finansowych z trudem tylko utrzymuje niemiecki stan posiadania w ludziach i roli, ale... ten stan posiadania na „niemieckim wschodzie" jest ciężko zagrożony.** Nabywanie ziemi przez Polaków przechodzi już na majątki i wsie na Pomorzu nadodrzańskim i na Śląsku, i w bardzo szerokich okręgach niemiecka ludność się cofa, podczas gdy polska prze naprzód... Z pewnego rodzaju koniecznego środka pomocniczego stała się praca wędrownych robotników rolnych podstawą wielkich rolniczych ośrodków na wschodzie. **Powoli, lecz pewnie polonizują się wschodnioniemieckie obszary dworskie".**

I autor konkluduje:

„W wielkim zmaganiu się obydwu narodowości o ziemię, Polacy okazali się potężniejsi. Statystyka wykazuje, że w czasie od 1896 do 1907 r. przy działach i sprzedażach razem 81.000 ha więcej przeszło z rąk niemieckich w polskie, niż odwrotnie".[7])

Proces ten postępował dalej aż do pierwszej wojny światowej i trwał również w okresie międzywojennym. Tuż przed wybuchem drugiej wojny w r. 1938 prezes rejencji Frankfurtu nad Odrą wystosował do władz tajny **memoriał o sytuacji miejszości polskiej w jego rejonie p. t.: „Die polnische Minderheit im Reg.-Bez. Frankfurt a/O".** Memoriał ten, znaleziony w r. 1945 w Babimoście, stwierdza, że l u d n o ś ć p o l s k a jak również ludność zgermanizowana formalnie, lecz ciążąca ku polskości, w z r a s t a ł a z r o k u n a r o k, i t o n i e t y l k o n a w s c h ó d o d O d r y (powiaty: Babimost, Międzyrzecz, Skwierzyna), l e c z i n a z a c h ó d o d O d r y w pow. Gródeckim i Kalawskim, na Dolnych Łużycach.[8])

Prócz robotników rolnych, emigrowali także w poszukiwaniu pracy robotnicy fabryczni i górnicy polscy, tworząc wielkie skupiska w głównych ośrodkach przemysłu niemieckiego: Westfalii i Nadrenii. **W okręgu Dortmund w r. 1913, na 409.944 robotników, Polaków było 164.119, tj. 40 proc. ogółu robotników w tym Zagłębiu.[9])**

Nie bez dużego więc wkładu ciężkiej pracy chłopa i robotnika polskiego rosła ta złowroga materialna potęga, która tak niegdyś imponowała i może nie zupełnie jeszcze przestała imponować światu.

Ale zarazem tą ciężką uporczywą pracą, która stała się nieodzowną, zwłaszcza na ziemiach nadodrzańskich, twardzi polscy chłopi i robotnicy, postępując w trop za „uciekającymi" z tej ziemi i od tych trudów Niemcami, torowali drogi narodowi polskiemu do powrotu na stare szlaki, ku Odrze.

Tak od szeregu dziesięcioleci, z żywiołową mocą zrywając wszelkie sztuczne zapory, etniczna fala polska powraca w swoje prastare łożysko i tworzy życiowe podstawy do postanowień układu poczdamskiego i do jego tak świetnej i szybkiej realizacji.

Irena Pannenkowa

1) Stwierdza to Freytag o ojcu swoim, lekarzu, stryju — pastorze i drugim stryju — prawniku w służbie państwowej, w kościele ewangelickim co niedzielę, obok niemieckiego, musiało być kazanie polskie. Był nadto w Kluczborku polski kościółek drewniany katolicki.

2) Heinz Rogmann: „Die Bevölkerung-entwickelung im preussischen Osten in den letzten hundert Jahren", str. 235. Berlin, 1937.

3) Statistik des deutschen Reichs Bd. 552, I. Berlin. I

4) Ogłoszonym w „Odrodzeniu' Nr 20 bież. roku.

5) Heinz Rogmann: „Ostdeutschlands grosse Not. Zahlen und Tatsachen" str. 103.

6) „The Economic Development of France and Germany 1815 — 1914". Second Edition. 1823. Str. 207.

7) „Die Verteilung des Grundbesitzes und die Abwanderung vom Lande".

8) Dr K. Kowalczyk i dr Rusiński: Polacy na Ziemi Lubuskiej i na Łużycach przed 1939 r. Instytut Zachodni, Poznań 1946.

9) ZAP Nr 52/Mp., str. 6.

A człek nieprzyjacielem nie będzie człowieka

(Dokończenie ze str. 1)

I inny jeszcze ksiądz, Hugo Kołłątaj, światły obywatel, postępowiec znakomity, który na podstawie sprawy Jana Kantego, o którego to kanonizację ubiegał się Kościół polski — udowodnił, jak despotyczny i chciwy pieniędzy był Rzym. Milion złotych kosztowała ta sprawa akademików ubiegających się o kanonizację — notuje skrupulatny ksiądz. I biskup Ignacy Krasicki, Trembecki i Zabłocki, poprzez Brodzińskiego, Słowackiego do Mickiewicza — szereg buntowników, którzy jasno widzą, ile strat ma naród polski i Kościół polski z wierności papieżowi absolutnej, dopuszczającej nie rzadko nawet odstępstwo narodowe. W mickiewiczowskiej *Trybunie Ludów* w artykule o Piusie IX czytamy doskonałą charakterystykę ówczesnego papieża, świetny lapidarny zarys jego polityki: „...*Pius IX jest zdecydowany poświęcić wszystko dla zachowania w dawnym stanie tego, co on nazywa Kościołem, tj. personelu, posiadłości i przywilejów duchowieństwa*". Ziemia i ceremonie! — oto jego dążenia.

Śladami postępowych księży i wszystkich postępowych Polaków kroczy współczesna myśl polska. Dlatego demokratyczne państwo tak święci pamięć ks. Ściegiennego, zaszczutego przez despotyczny carat i gnuśne kosmopolityczne duchowieństwo. Dlatego wreszcie demokratyczne państwo występuje w obronie praktyk religijnych przez ludzi wierzących — stając się tym samym obrońcą wolności religii.

Droga Watykanu, jasna przede wszystkim w postępowaniu papieża Piusa XII, jest drogą, na którą katolickie społeczeństwo polskie zgodzić się nie może, której nie może akceptować żaden oświecony ksiądz polski. Wybraliśmy już własną drogę, którą wskazali nam nasi drodzy nauczyciele z mroków dalekiej i bliskiej przeszłości, na której dawno już nie było zgody z papieżem, a na której dziś za to spotykamy się z milionami robotników całego świata, wierzącymi i niewierzącymi, budującymi lepszy świat wbrew średniowiecznym manifestacjom ekskomunikowym. *Jeśli wierzymy, mówimy o sobie mocno. Jesteśmy katolikami! I wiemy, że to zobowiązuje do służby postępowi, własnej demokratycznej ojczyźnie, jej prawu i jej pokojowym tendencjom.* Oto jaką wyciągamy naukę z wydarzeń, których bohaterem głównym jest papież Pius XII, święte kolegium kardynalskie (pamiętacie Mickiewicza? „Wszyscy wiedzą, że członkowie Świętego Kolegium są po większej części ludźmi o umyśle pospolitym, bez charakteru i o miernym wykształceniu" — w Trybunie Ludów 29 września 1849) i nie na końcu finansjera amerykańska, niedobitki świata, których nikt się już lękać nie zamierza.

Wilhelm Szewczyk.

Korespondencja

Do Redaktora
Tygodnika „ODRA"

Wpadł mi do ręki Nr 25 „Odry" z 10 lipca b. r. z listem p. Ireny Pannenkowej w sprawie tytułu II tomu „Wspomnień" Winstona Churchilla. Autorka listu z uczuciem ulgi podaje do wiadomości Czytelników „Odry", że niepokojący tytuł francuskiego przekładu — **„Drole de guerre"** — spowodowany został, jak ją zapewnia jakiś przygodny jej korespondent, trudnością przetłumaczenia „oryginalnego" tytułu II tomu „Wspomnień" Churchilla — **„Twilight War"** i że Churchill nie miał oczywiście wpływu na francuski przekład, co bardzo cieszy p. Pannenkową. Uważam, że zarówno autorka tego listu jak i Czytelnicy „Odry" powinni znać prawdę. II tom pamiętników Churchilla — mam przed sobą wydanie anglo-amerykańskie wydane wspólnie przez „Houghton Mifflin Company Boston i The Riverside Press Cambridge 1949" — nosi tytuł **„Their Finest Hour"** (Godzina chwały) i pod takim tytułem drukowany był w odcinkach w tyg. „Life" oraz w dziennikach „New York Times" i „Daily Telegraph" (Londyn). Skąd korespondent p. Pannenkowej wziął nazwę **„Twilight War"**, pozostawiam literackim detektywom i autorce mylnej informacji.

Marian Podkowiński
(Berlin).

JÓZEF POGAN

Anatomia społeczna osady

O 15 km na zachód od Katowic, w pobliżu głośnej w całej Polsce kopalni „Zabrze-Wschód", huczą szyby kopalni „Bielszowice". Tuż przed kopalnią na ulicy Edmunda Kokota przykuwa wzrok na rozłożystym drzewie tablica z napisem: „Tu zginął z rąk hitlerowskich zbirów za Wolność Tej Ziemi ob. Edmund Kokot. 30. X. 1908—12. II. 1942. Cześć Jego pamięci". Wzruszające są te słowa. Zginął Edmund Kokot, powieszony na tym właśnie drzewie.

Od kopalni w trzech kierunkach: (północ, wschód i zachód) rozchodzą się ulice tej większej osady Bielszowice. Mieszka w niej przeszło czternaście tysięcy osób, w większości robotnicy, choć nie brak też rolników i pracującej inteligencji. Ponad drogami rozłożyste lipy, kasztanowce, pięknie „ufryzowane" akacje a poza parkanami owocowe sady nadają osadzie sporo wiejskiego uroku. O wiejskości świadczą też rozciągające się wokoło pastwiska i działki pól i chłopska na nich praca, a także w większości śląska gwara i śląski strój, jaki przywdziewają jeszcze starsi ludzie.

Ale bodajże na tej zieleni drzew i sadów, na kilkunastu rolnikach, na gwarze i stroju śląskim kończy się prawdziwa wiejskość Bielszowic. Osada ta już od dawna, od czasu wybudowania kopalni utracała stopniowo swą sielskość, przeobraziła się w osadę robotniczą i swym rozwojem technicznym urbanizuje się powoli. Asfaltowa szosa, wybrukowane ulice, piętrowe, ceglane domy górują znacznie nad błotnistymi drogami i ścieżkami i nad przykucniętymi gdzieniegdzie do ziemi staroświeckimi domkami. Jest tu kino, szpital Ubezpieczalni Społecznej, apteka, kiosk z pismami i gazetami, a z większości mieszkań rozlega się głos czy muzyka z radiowych głośników.

Zachodzę do urzędu gminnego i zaczynam rozmowę z urzędnikiem Pelcem Zenonem, który jest jednocześnie bibliotekarzem Gminnej Biblioteki. Po chwilowej rozmowie zwiedzamy Bibliotekę. Oglądam półki z książkami i stoły z rozłożonymi pismami i gazetami. Biblioteka liczy 250 tomów, w tym 87 tomów stanowi własność, a reszta dostarczona przez KUK. Ale wnet zwiększy się ilość własnych książek, wszak Gmina przeznaczyła na ten cel 250 tys. zł.

W bibliotece między innymi dzieła: Morcinka, Nałkowskiej, Meissnera, Sieroszewskiego, Gojawiczyńskiej, Orzeszkowej, Iwaszkiewicza, Rusinka, Rudnickiego Adolfa i Lucjana; chłopskich pisarzy: Orkana, Wiktora, Mortona i Wasilewskiej; obcych: Balzaka, Grandeta, Zoli, Fuczika (Reportaż spod szubienicy), Hugo, Gorkiego i innych. Jest też trochę literatury marksistowskiej.

Jak wykazują zapiski — najbardziej poczytnymi są: Morcinek, Wasilewska, Meissner, Orkan, Orzeszkowa, Kraszewski, Rudnicki, Fuczik, Balzak i Zola. Czytelnicy dopominają się też o dzieła Prusa, Żeromskiego i Reymonta, lecz tych na razie nie ma. Marksistów czyta przeważnie młodzież.

Jest też w bibliotece czytelnia, a na stołach rozłożone pisma: Odra, Przekrój, Problemy, Prawo człowieka, Radio i Świat, Szachy, Dziennik Zachodni, Trybuna Robotnicza i Droga do Jedności. W godzinach przedwieczornych zbiera się w czytelni około 20 osób. Jedni wypożyczają książki i zaraz odchodzą, inni, chciwi różnej lektury — czytają pisma na miejscu.

Bardzo skromnie przedstawiałby się stan czytelnictwa w tak dużej miejscowości. Bo 14 tys. mieszkańców, a tu zaledwie 15 książek dziennie wypożyczają. Nie zadaję jednak Pelcowi na ten temat pytania, wiedząc, że w Bielszowicach jest Świetlica Związku Zawodowego Górników z biblioteką i czytelnią. Pytam tylko, jaki jest społeczny skład czytelników.

— Wiadomo, że w większości czytelnicy — odpowiada p. Pelc. — Co do czytelników z warstw społecznych, czytają zarówno prości robotnicy jak i inteligencja pracująca. Ale przeważnie młodzież.

Z kolei zwiedzam Świetlicę Związku Zawodowego Górników. Zajmuje ona cały budynek tuż koło dyrekcji kopalni. Wewnątrz budynku czystość i harmonijny ład. W bibliotece zastaję kierownika Świetlicy i bibliotekarkę. Kierownik, Skrzypiec Rudolf, młody jeszcze człowiek, syn robotnika fizycznego. Kształcił się jeszcze przed wojną, lecz ciężkie warunki życiowe przerwały mu naukę. Dopiero po wojnie ukończył kurs kierowników świetlicowych i przyjął odpowiedzialną pracę.

Wnet zjawia się też sekretarz dyrekcji kopalni, Leon Chmielniczuk. Żywo interesuje się świetlicą, jej działalnością i rozwojem i niemal codziennie po ukończeniu pracy biurowej do świetlicy przychodzi.

— Według mnie — opowiada — książki w naszej bibliotece odpowiadają tutejszemu społeczeństwu, bo zaspokajają ich potrzeby. Jest ich za mało, bo tylko 1200 tomów. Zwłaszcza odczuwa się brak tłumaczeń z języka rosyjskiego, o które często się upomina. Na razie: Tołstoj, Gorki, Katajew, Szołochow, Erenburg. To za mało dla naszej młodzieży.

Ponownie zaczynam rozmowę z kierownikiem Skrzypcem. Jest zadowolony z utworzonych zespołów: chór mieszany, zespół orkiestrowy, smyczkowy, mandolinistów, akordeonistów, dwa zespoły taneczne (starsi i młodzi), teatr ... zespołu przedstawienia. A szkoda. Jednak już zamierzają ten zespół utworzyć.

Aktywnych członków świetlicy jest 673, miesięczna frekwencja około 1800 osób.

— Czy wszyscy przychodzą specjalnie z zamiłowania do kultury? — rzucam pytanie.

Kierownik zakłopotał się nieco. A po chwili mówi szczerze:

— Część dla zwykłej rozrywki, jak się to mówi dla zabicia czasu, część dla zdobycia kultury i wiedzy. Jedni przychodzą do ..., lecz ... w kulturze.

— Być może — myślę sobie i zaczynam oglądać półki z książkami, stoły z pismami i ze przejrzenia katalogu. Pod względem doboru, zbiór książek przedstawia się możliwie, choć i pewien zarzut też trzeba postawić. Ale o tym nieco później. Jest po kilka dzieł Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Żeromskiego, Prusa, Konopnickiej, Orzeszkowej, Rodziewiczówny i innych. Także dzieła żyjących obecnie autorów: Wasilewskiej, Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Morcinka, Meissnera, Żukrowskiego i wielu innych. Także nie brak obcych autorów jak: Balzaca, Zoli, Dickensa, Dreisera oraz wymienionych już powyżej pisarzy rosyjskich. Natomiast brak całkowity pisarzy śląskich (jeden tylko Morcinek), także nowoczesnych robotniczych i chłopskich. Z tych ostatnich jest zaledwie Dunaevskiego „Ludzie spod miedzy" i Pogana „Cierpki owoc".

Najważniejszy zarzut, jaki należy postawić tej bibliotece, to książki filozofa-magnata Wincentego Lutosławskiego. Nie chodzi chyba o „Wykłady Jagiellońskie", ale „Logika ogólna" nie jest wcale zdrowym pokarmem duchowym dla ludu. Wprawdzie jest to dzieło filozoficzne, jednak nie brak w nim takich ujęć i sformułowań ideologicznych, pod którymi bez wahania podpisaliby się Truman, Schuman, Churchill, Franco i wszyscy angloamerykańscy imperialiści i kapitaliści. I właśnie tę książkę czytają bardzo często studenci wyższych szkół i gimnazjaliści. Nie radośnie to, bo dodać im jeszcze coś z egzystencjalizmu Sartre'a, a wiadomo „jacy ludzie z nich wyrosną". Chyba, że Lutosławskiego czytają dla przykładów i porównań.

Dziwny też jest komplet sztuk scenicznych: o agrarystycznym wydźwięku. „Dla świętej ziemi", dla „kichających" burżujków przemoczone „Kalosze". Babska polityka, Pokój do wynajęcia, Poseł czy kominiarz itp. Szczęście, że nie ma już Żyda w beczce, Żywcem zamurowanej i t. p. magnacko-burżuazyjnej szmiry, która nic ponad głupią rozrywkę nie dając — nie powinna zaprzątać nowoczesnej biblioteki.

Jak wynika z zapisków w kartotekach, czytelnicy codziennie wypożyczają około 50 książek. W przeciągu paru godzin mej obecności odwiedziło bibliotekę kilkanaście osób, przeważnie spośród młodzieży. Każdy długo przegląda katalog, namyśla się, nie wiedząc co wybrać. Uczułem jakiś żal do kierownika, że czytelnikom nie przyjdzie z pomocą. Wybierają według ciekawszych tytułów, albo już powszechnie znanych autorów. Toteż najbardziej poczytni są: Mickiewicz, Balzac, London, Prus, Żeromski, Sienkiewicz, Kraszewski, Krasiński, Słowacki, Tołstoj, Rusinek, Morcinek, Meissner, Rodziewiczówna i Wasilewska. Także Marks i Engels.

Na półkach i stołach mienią się różnymi kolorami tytuły czasopism i dzienników. Jest Świetlica, Młodzi idą, Przekrój, Problemy, Kuźnica, Chłopska Droga, Trybuna Wolności, Szpilki, Rzeczpospolita, Trybuna Robotnicza i Dziennik Zachodni. Także periodyki: Wiedza i Życie, Poradnik pracownika społecznego, Życie Gospodarcze, Robotniczy Przegląd Gospodarczy i Teatr Ludowy. Nie ma natomiast Odry i Odrodzenia. Najchętniej czytają: Świetlicę, Przekrój i Młodzi idą. Studiująca młodzież czyta też chętnie Problemy.

Jak z powyższych przekładów wynika, czytelnictwo wśród robotników w Bielszowicach, choć nie jest na odpowiednim poziomie, ale przecież zadawalające. Tym bardziej, że stopniowo się rozszerza i pogłębia, bo np. od ubiegłego roku znać pewien postęp.

Zajrzyjmy na chwilę do gminy i zobaczmy jak praca Zarządu Gminnego promieniuje na całość gromady. Wójt, Duda Maksymilian, syn robotnika, opowiada krótko o pracy samorządowej, społecznej i partyjnej PZPR. Urzędnicy gminni są w większości członkami PZPR, poza tym SD i bezpartyjni.

— Czy są u was bogacze? — pytam znienacka.

— Bogaczy nie ma, jest tylko kilku gospodarzy posiadających najwyżej po osiem hektarów ziemi.

— A prywatna inicjatywa?

— Tych wyzyskiwaczy nie brakuje. Prywatni sklepikarze, właściciele różnych zakładów, piekarze, szynkarze itp. nie dość, że się bogacą z pracujących robotników, ale jeszcze wrogo są nastawieni do obecnej rzeczywistości i cichą, a wykrętną propagandą wywierają na nieuświadomionych jednostkach ujemny politycznie wpływ.

W tym oświadczeniu wójta jest sporo prawdy, znane mi bowiem są fakty z innych miejscowości, gdzie to sklepikarze i inni samodzielni „przedsiębiorcy" kupują samochody, budują nawet domy, a wciąż narzekają na „straszne podatki", chwalą „przedwojenny" żywot itp.

— A księża?

Wójt się zawahał. Po chwili mówi z pewnym zakłopotaniem:

— Nikt nigdy nie słyszał, by coś przeciwko demokracji mówili. Poza kościołem najwyżej zajmują się i opiekują Sodalicją Mariańską, która liczy około 40 członków. Ci, jako też i księża nie biorą nigdy udziału w Akademiach, pochodach i innych uroczystościach. Przez to już można się domyślać o ich przekonaniu politycznym.

— Co tutejsza ludność myśli o owym „cudzie lubelskim"?

— Wielkie jest tym zaciekawienie; jedni, ci właśnie zwolennicy księżej polityki wierzą, ale większość domyśla się w tym jakiegoś mydlenia oczu nieuświadomionej ludności.

— Jest jaka różnica życia w okresie przedwojennym a obecnym?

— Toć pierona pytają, kiedy sami o tym nie wiedzieli — urażony nieco wójt odpowiedział swoją śląską gwarą.

— Ale specjalnie tu w waszej miejscowości i w czym na przykład wy tę różnicę widzicie?

— Choćby na przykład życie robotników i urzędników: dawniej jednostki opływały w rozkoszach, a wielu robotników nie miało pracy i mieszkań; obecnie nie ma tych darmozjadów ani bezrobotnych. Jest jakieś zrównanie stopy życiowej różnych warstw. Albo szkolnictwo: przed wojną kształciły się w szkołach wyższych 4 osoby, w średnich 8, a obecnie kształci się w szkołach wyższych 12 osób, a w średnich 18. Cała ta nadwyżka — to dzieci robotników i chłopów.

Wójt opowiada dalej o pracy partyjnej PZPR, o ich wpływie na całość miejscowego społeczeństwa i o czytelnictwie. Biblioteka PZPR czysto partyjna. Czytają ją chętnie aktywiści partyjni, których jest przeszło połowa wszystkich członków. Pisma prenumerują różne: Trybunę Ludu, Trybunę Robotniczą, Dziennik Zachodni oraz dla chłopów Chłopi i Państwo i Gazetę Ludową. Jeśli chodzi o beletrystykę — to członkowie partii korzystają z Biblioteki Gminnej i świetlicowej w Związku Zawodowym Górników.

Rozrost partii postępuje powoli. Od czasu zjednoczenia się z PPS-em przybyło 10 członków. Zebrania odbywają się co miesiąc z udziałem mniej więcej trzech czwartych wszystkich członków. Chętnie współpracują z Samopomocą Chłopską, z nauczycielstwem i przeważnie te trzy skupiska mają swych przedstawicieli w Gminnej Radzie Narodowej. Rada w miarę sił stara się krzewić czytelnictwo, czego dowodem jest uchwalenie na Bibliotekę Gminną sumy 250 tys. złotych.

Do ZMP podobna jest Samopomoc Chłopska. Liczy wprawdzie 120 członków, lecz jak oświadcza prezes Jarczyk — „powinno być 500". Lecz nie ma tylu, bo pono „dotychczasowe Zarządy nie przejawiały żywszej działalności". Ale „dotychczasowe Zarządy" bynajmniej nie potrzebują się wstydzić przed nowym. Bo np. prezes Jarczyk narzeka na „brak papy i innych materiałów budowlanych". Oczywiście utrudniona sprawa, gdy nie mają swej spółdzielni. Schodzą się członkowie raz w miesiącu na zebrania, ale widocznie po to, by narzekać, że w nieistniejącej spółdzielni „nie ma papy". Trzeba im powiedzieć szczerze, że „do rzyci" takie ich chłopskie gadanie! „Nie ma papy", bo nie ma Spółdzielni, nie ma wśród członków uświadomienia, bo nie czytają, bo prenumerują zaledwie „Rolnika Polskiego". Czy Samopomoc Chłopska w Bielszowicach ma być organizacją odrębności, bierności i apatii społecznej?!

Ważnymi też społeczno-kulturalnymi placówkami są oczywiście szkoły. W Bielszowicach jest ich pięć z 37 nauczycielami, przeważnie robotniczego i chłopskiego pochodzenia. Większość z nich należy do PZPR, kilku do S. D., czy do S. L., paru z nich to bezpartyjni. Kierownik Władysław Sułkowski jest zastępcą wójta, a trzech w Radzie Gminnej. I zapewne ta spólnota decyduje o pozytywnej pracy społecznej nauczycielstwa. Uwidacznia się to na przykładzie ZMP i Samopomocy Chłopskiej. Nie biorą udziału w samorządzie gminy, w pracy PZPR (zwłaszcza ZMP), przeto ich praca nawet wewnętrznie kuleje. Z nauczycielstwem jest inaczej. Bo jak wynika z oświadczenia wójta, sekretarza PZPR i kierowników szkół — nauczycielstwo w miarę sił i czasu udziela się w pracy społecznej. Oczywiście nie wszyscy z jednakowym zapałem i myślą, bo jak oświadcza jeden z kierowników — „nie wszyscy nauczyciele pojmują należycie sens ogólnych zagadnień nowej rzeczywistości, przeto ich praca społeczna nie zawsze dopisuje." Kierownik mówi o „ideologicznych kursach dla nauczycieli, a nie jak dotąd, dla samych tylko kierowników."

Ma rację ów kierownik, wszak wśród nauczycielstwa tak samo jak i wszędzie są przecież pewne, nawet dobrej woli jednostki, które jeszcze nie pozbyły się uprzedzeń i niesłusznych zastrzeżeń. Ale nie próbujmy kontrolować czyjej myśli — pokażmy raczej ich pracę, która bądź co bądź ma swoją wymowę. Oto na przykład w Bielszowicach za pracę społeczno-kulturalną nauczycielka Zofia Pelcowa otrzymała od Zarządu Gminy nagrodę pieniężną. A zjazd w podziemia kopalni przez 28 starszych dzieci też chyba dowodzi wielkiej sympatii nauczycielstwa do robotników i szacunku dla ich budowniczej pracy. Taka inicjatywa nie rodzi się chyba w obojętnej duszy wychowawcy. Dzieci zobaczyły nie tylko podziemne skarby, ale tam wśród kurzu i dymu rozmawiały ze spoconymi przodownikami pracy. Zorganizowano też wycieczkę dziatwy do Krakowa i do kopalni soli w Wieliczce. Koszta podróży dla biedniejszych pokryto całkowicie z funduszów Samorządu Szkolnego. I na Wystawie Wrocławskiej w ubiegłym roku były dzieci z Bielszowic.

W ramach obchodów i uroczystości Narodowych, zespoły dziatwy szkolnej zawsze biorą udział, występując z inscenizacjami. Od czasu do czasu urządza się też w szkołach przedstawienia. To też dziatwa nabiera zrozumienia życiowego. Kierownik Wolny mówi, że starsze dzieci po przeczytaniu jakiegoś zawilszego artykułu czy fragmentu powieści — zwracają się często do nauczycieli o wyjaśnienie. Zaś między sobą dyskutują na temat pogadanki radiowej, zrozumialszego artykułu z pisma, odbytej Akademii itp. Martwią się też słabą notą, pojmując, że to ujemnie może się odbić na ich przyszłym życiu.

— Ale są też wyjątki, że niektórzy ludzie, a więc i ich dzieci żyją jeszcze jakby baśniami — mówi jeden z kierowników. — Antagonizmy na tle polityczno-społecznym mają czasem miejsce między zorganizowaną a bezpartyjną — ściślej: żyjącą pod patronatem proboszcza — ludnością.

Bardziej oględne czy wyrazistsze wypowiedzi pod adresem proboszcza mniej więcej pokrywają się z sobą.

Biblioteki są pokaźne, choć nie we wszystkich szkołach wystarczające: od 500 do 800 tomów, w większości dzieła klasyków, sporo obcych tłumaczeń, natomiast brak nowoczesnych robotniczych i chłopskich pisarzy. Młodzież szkolna, oprócz obowiązkowej lektury, najchętniej czyta książki podróżnicze, historyczne i przyrodnicze. Ilość przeczytanych książek waha się od 15 do 30 tygodniowo w każdej szkole.

Z pism dla dzieci znajdują się: dla młodszych: Iskierki, Płomyk i Płomyczek, dla starszych: Wolni ludzie, Młody obywatel, nawet Wieś, Kurier Codzienny i Dziennik Zachodni. Dla nauczycielstwa: oprócz czasopism przedmiotowych jak Wiadomości historyczne, Polska i Świat Współczesny — także Odra, Kuźnica, Odrodzenie, Wieś, Problemy oraz niektóre dzienniki. Resztę wiadomości uzupełnia radio, w każdej bowiem szkole jest radioodbiornik.

Tyle pobieżnie można powiedzieć o społeczno-kulturalnej pracy w przeciętnej osadzie Górnego Śląska. Są pozytywne wyniki, nie brak też i ujemnych stron. Koło nowego życia i ogólnych przemian wzięło należyty obrót, nabiera rozpędu, lecz na drodze są jeszcze wyboje i różne przeszkody. I chociaż nie należy się zrazić nimi, zaapelować trzeba do Samorządów Gminnych, do partii politycznych, do organizacji społecznych, do nauczycielstwa o mocniejszą między sobą więź i pchnięcie pracy na lepsze jeszcze tory.

JÓZEF POGAN

JANINA ZABIERZEWSKA

W Parku Kościuszki

Za miastem, w parku, szumiący drzew rozmach
żywicznym dechem przelewa się w płucach.
I spokój stąpa krawędziami ścieżek
po których słońce złote krążki rzuca.

Oczy zawieszam na wiotkich gałęziach
rozkołysanych na porannym wietrze.
Ich drżenie śpiewne zbieram i układam
jak antyfonę modlitewnym wierszem.

A niebem jasnym wesoło się smużą
wstęgi dymiące kopalni Kleofas.
Między obłoki wzbił się i wydłużył
ich ślad, jak mocna i wspaniała strofa.

I tak mnie garną aleje zielone
i tak mnie garnie trud powszednich rzeczy,
jak dwie miłości w pokorze wielbione
z których mnie chyba już nic nie uleczy.

FRANCISZEK GERMAN

Mickiewicz kompozytorem

O muzycznych zainteresowaniach Mickiewicza - część szósta

Poeta przyszedł na świat **„z wybitnym talentem muzycznym, który ustępował w cień tylko dlatego, że inny talent — poetycki — wielokrotnie go przewyższał."** 1)

Rzecz zrozumiała, że Mickiewicz próbował swych sił kompozytorskich po amatorsku; grał również po amatorsku, na fortepianie, harfie i flecie. Co się tyczy tego ostatniego instrumentu, to w grudniu 1826 r. tak pisał do Stanisława Dobrowolskiego, prefekta szkół kowieńskich: **„Żartujesz sobie, pisząc o moich postępach w muzyce. Flotrowers, o którym piszesz, do ust moich jakoś nie przypada i tyle umiem, ile dawniej."** Czubek przypuszczał, że wzmianka Mickiewicza o „flotrowersie" jest niczym innym, jak szyfrem muzycznym. Czy miał rację, trudno rozstrzygnąć, chociaż wiemy, że filomaci posługiwali się szyfrem muzycznym z obawy przed represjami zaborcy. (Por. Dzieła A. Mickiewicza, wyd. sejmowe, t. XIII, s. 284, przypisek).



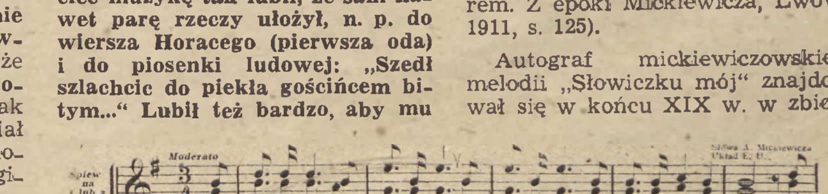
Podobizna karty tytułowej wydanego w r. 1898 „Śpiewnika Mickiewiczowskiego", opracowanego przez Edmunda Urbanka.

W innym liście, do M. Szymanowskiej, z dnia 2 listopada 1828 r., pisał Mickiewicz z humorem o graniu i śpiewaniu swoich kompozycji przy fortepianie znakomitej pianistki.

O amatorskich pracach Mickiewicza z zakresu kompozycji muzycznych spotykamy wzmianki w korespondencji poety również w późniejszych latach. Dnia 7 stycznia 1840 r. donosił Zaleskiemu w żartobliwej formie z Lozanny: **„Przysłałeś choć parę piosenek... Bieda — bieda, przygrywka znakomicie, wykoncypowana... nieraz ją sobie śpiewam i mam zamiar kiedyś do niej muzykę zrobić. Ma się rozumieć, jak będę miał pieniądze i literaturę i książki porzucę, na wsi osiędę i będę muzyki komponować. Zamiar dawny, tylko, że nikt w mój talent muzyczny nie wierzy. Obaczymy kto ma rację. Mam w tym względzie, jak Słowacki powiada, zapas ironii na całą publiczność..."**

Nie wiadomo czy Mickiewicz napisał muzykę do wiersza Zaleskiego **„Nuże"**, tak jak to zamierzał. Faktem jednak jest, że poeta napisał melodię, a kompozytor Kozłowski2) akompaniament do dumki J. B. Zaleskiego o hetmanie Kosińskim. W późniejszych latach potwierdzi to sam Zaleski, umieszczając na liście Mickiewicza z daty Lozanna, 7 stycznia 1840 roku następujący dopisek: **„Istotnie w Petersburgu, w spółce z kompozytorem Kozłowskim, Adam ułożył był muzykę do mojej dumki o Kosińskim, którą ślicznie odlitografowaną z adnotacjami swymi, przysłał mi kiedyś do Warszawy"** (około 1825 r.).

Córka Mickiewicza, Maria, pisała w swoich pamiętnikach o innych kompozycjach poety: **„Ojciec muzykę tak lubił, że sam nawet parę rzeczy ułożył, n. p. do wiersza Horacego (pierwsza oda) i do piosenki ludowej: „Szedł szlachcic do piekła gościńcem bitym..." Lubił też bardzo, aby mu**



Początek pieśni „Słowiczku mój". Słowa i melodia Adama Mickiewicza.

śpiewano chór Aniołów z Dziadów, cz. III (sc. 4):

Lekko i cicho, jak lekkie sny zlećmy,
Braciszka miłego sen rozweselmy,
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,
Oczami, gwiazdami twarz mu oświećmy,
Śpiewając i grając latajmy wiankiem
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem.

Chór ten ojciec układał na nutę Haydna do angielskiego hymnu narodowego."

„Pieśń w scenie więziennej do III cz. „Dziadów" jest dziełem Mickiewicza. Że poeta jest tu autorem samej melodii — zauważa doc. Lissa — **to pewne, czy również i akompaniamentu — wątpliwe."**

Prof. S. Pigoń oświadczył mi, że posiada fotograficzną odbitkę pewnej pieśni Mickiewicza. Tekst słowny, według znakomitego znawcy twórczości Mickiewicza, pochodzi od Mickiewicza, czy melodia również — tego nie mogli rozstrzygnąć ani prof. Pigoń, ani prof. Jachimecki. Być może, że chodzi tu o wyżej wspomnianą pieśń w scenie więziennej z III cz. „Dziadów".

Alojzy Niewiarowicz pisał w swoich **„Wspomnieniach o Adamie Mickiewiczu"** (Lwów 1878 r. s. 164) o pieśniach ułożonych przez Ksawerę Dejbell oraz o kompozycji Mickiewicza do ballady Czeczota lub Zana, o której nie mamy bliższych danych, gdyż wiele elaboratów muzycznych wieszcza zaginęło, inne zaś pozostają w ukryciu w różnych archiwach. Stosunkowo dużo zachowało się wiadomości o kompozycji Mickiewicza „Słowiczku mój". Poeta przesłał ten wiersz w r. 1841 wraz z nutami J. B. Zaleskiemu, wzywając przyjaciela do przystąpienia do towiańczyków. Melodię Mickiewicza zapamiętał A. Niewiarowicz, a wiadomość o niej przekazał nam Władysław Bełza:

„W samą wilię Bożego Narodzenia 1881 r., po skończonej wieczerzy zasiedliśmy koło fortepianu. Mój szwagier, Antoni Ostrowski, profesor lwowskiego konserwatorium, uderzył w klawisze i nuta za nutą, naprzód w melodię a potem na papier, przelewał śpiew pana Niewiarowicza, — aż wreszcie muzyka została spisaną i uzyskała potwierdzenie autentyczności od p. Niewiarowicza. Wydał ją następnie księgarz Seyfarth3) a sam śpiew, bez towarzyszenia fortepianu, pomieścił Tygodnik Ilustrowany w Nrze 325 z roku 1882. Aby już nie mieć najmniejszej wątpliwości co do talentu kompozytorskiego Mickiewicza, udałem się listownie do jego syna Władysława, z prośbą o potwierdzenie faktu. Odpowiedź, która wkrótce nadeszła, rozwiała wszelkie niedowierzania i po raz pierwszy „Słowiczek" naszego wieszcza, zabrzmiał w sali lwowskiego Koła Literackiego, na publicznym koncercie, danym ku uczczeniu ośmdziesiątej rocznicy urodzin Bohdana Zaleskiego, w dniu 19 marca 1882 roku" (W. Bełza — Mickiewicz kompozytorem. Z epoki Mickiewicza, Lwów 1911, s. 125).

Autograf mickiewiczowskiej melodii „Słowiczku mój" znajdował się w końcu XIX w. w zbiorach Muzeum Narodowego w Raperswilu w Szwajcarii. Wydał ją następnie własnym nakładem (śpiew 1 lub 2 głos z tow. fortepianu) Edmund Urbanek we Lwowie w r. 1898 w „Śpiewniku Mickiewiczowskim" z. II, s. 1, z następującą uwagą: **„Melodia A. Mickiewicza, wyjęta ze zbiorów Muzeum Narodowego w Raperswylu".**

Melodia „Słowiczka", wspomniana przez Bełzę **z zaznaczeniem, że jest „utworu Mickiewicza", a autor tow. fortepianowego nieznany"** była drukowana również w dodatku nutowym do nr 16 „Echa Muzycznego" z r. 1882.4) Feliks Starczewski, posiadacz cennych zbiorów mickiewiczowskich z zakresu muzyki i śpiewu, które spłonęły w czasie Powstania Warszawskiego, przedrukował ją z tekstem słownym w artykule **„Melodia Adama Mickiewicza"** (Muzyka nr 10, z 20. 10. 1931 r.) i przeprowadził szczegółową jej analizę ze stanowiska krytyki muzycznej.

Amatorska kompozycja Mickiewicza nie przestała zajmować wybitnych kompozytorów polskich. Do śpiewu solowego z tow. fortepianu i na chór opracowali ją m. in. Władysław Żeleński, Bolesław Wallek-Walewski i Feliks Nowowiejski, a ostatnio Tadeusz Szeligowski.

FRANCISZEK GERMAN

1) Doc. dr Zofia Lissa — Adam Mickiewicz a muzyka. „Życie Śpiewacze", Warszawa 1949, nr 1/2, s. 14.

2) Józef Kozłowski (1757—1831) Polak z pochodzenia, wynarodowił się i został nadwornym kompozytorem Katarzyny II. Dzięki poparciu Potemkina został dyrektorem teatrów carskich w Petersburgu. Pod koniec 18 w. był głośny jako kompozytor polonezów na orkiestrę i fortepian. Jeden z jego polonezów śpiewano w Rosji jako hymn narodowy. Kozłowski był twórcą chórów do tragedii „Fingal" i muzyki do kilkunastu dramatów. Jego pieśni-romanse poszły w zapomnienie i dziś znane są tylko z tytułów. Kozłowski napisał też liczne marsze i sławne Requiem Es-moll op. 1 na śmierć Stan. Augusta. Mickiewicz poznał go w czasie pobytu w Petersburgu, gdzie też obaj ułożyli muzykę do dumki Zaleskiego o Kosińskim.

3) Słowiczku mój, wiersz i melodia Adama Mickiewicza ułożona do śpiewu z towarzyszeniem fortepianu przez Antoniego Ostrowskiego, Lwów (1882) Seyfarth i Czajkowski Lith. J. Eberle Wien, s. 3. Egzemplarz tego rzadkiego dziś wydania posiada Biblioteka U. J. w Krakowie (Nr 1870 III Musicalia).

4) Tym „nieznanym autorem", który opracował „Słowiczka" na fortepian dla „Echa Muzycznego" jest najprawdopodobniej Antoni Ostrowski.

(Zdjęcia i reprodukcje z fototeki autora.)

Encyklopedia „Odry"

Śpiewnik powszedni

Jan z Czarnolasu, nowotwórca wielu przymiotników i fenomenalny ich majster, brał je często wprost z gleby i używał w sensie dosłownym. Obce mu było np. dzisiejsze znaczenie wyrazu p o w s z e d n i jako „zwyczajny, pospolity", brał rzecz dosłownie: po wsze dni, na co-dzień. Stopniem wyższym tej powszedniości jest — d o s t a t e c z n o ś ć. W dzisiejszym języku literackim, pod wpływem szkoły przede wszystkim, dostateczność jest synonimem ledwo-wystarczalności. W staropolszczyźnie i w niektórych gwarach ludowych przeciwnie, wywodzi się wprost od dostatku, oznacza obfitość, miarę potrzebną.

Rozezna się w tych finezjach każde czulsze ucho, każdy świadomie operujący językiem człowiek, nie odczuje ich natomiast osobnik, choćby najinteligentniejszy, bytujący w obrębie jednej tylko swojej domowej gwary. Więc też nie mogłem oczekiwać podobnej postawy od organistu, który mnie przywiódł do tego spostrzeżenia. Gdzieś ze złotopszennego Powiśla zjechał on na Przyodrze, używając obficie swej ojcowej gwary sandomierskiej. Jednostka ciekawa spraw kulturalnych, lubi czytać pasjami. Gawędzimy też obficie o książkach, którymi dziwnie pogardzał należący już do przeszłości szaber.

— Bo na książkach trzeba się trochę znać. Tak jak na karatach brylantów, na specyfikach aptecznych, na miękkich - twardych. A co taki mógł znaleźć w półkach z książkami poniemieckimi? Chyba tylko safianowe skórki z okładek, przydatne na torebki dla pań czy wierzchy do drewniaków...

(Ma rację. Ileż to razy widziało się mięciutki wierzch drewniaka o płomiennej czerwoności, zdarty z jakiegoś w skórę oprawnego Larousse'a czy dzieł Walterskotta.)

— Skoro pana to zajmuje, muszę opowiedzieć moje zdarzenie. Ledwie objąłem posadę, widzę, że w moim organie jeden pedał nie działa. Zaglądam, odkręcam, a tam jakiś zwitek uwiera. Spadł widać z regału, albo też jakiś mój poprzednik „jarganista" tam wsadził, żeby fararza nie kłuło w oczy. Jakiś śpiewnik z nutami. Nic szczególnie ciekawego dla mnie. Znane pieśni, tylko na inną nutę jak u nas.

Rozpowijam zmięte szpargalisko w szafirowej okładce i czytam:

> *ŚPIEWNIK POWSZEDNI z dowodzącymi składami, czyli Melodje i Kancjonał, zawierający w sobie pieśni na potrzebę pod czas nabożeństwa w kościele, dla ludu pospolitego katolickiego ułożony przez E. F. W. MUTHWILLA.*
> *W Głogówku, 1847. Nakładem Henryka Handla, wytłoczono w Nysie, w drukarni J. A. Muellera.*

Jest to ułomek, czwarta część zaledwie najobszerniejszego śpiewnika, jaki w samym przededniu Wiosny Ludów ukazał się na ziemi śląskiej. Bibliografia poucza, że pieśni z nutami i pełnym tekstem zawiera on sto. Niech się tym brakiem martwi specjalista pieśniarz czy muzykolog, badający różnice w wątkach melodyjnych i tekstach słownych. Nam wystarczy dokładne odczytanie karty tytułowej. Patronują przedsięwzięciu cztery nazwiska, niebardzo jak widać szlacheckie, obce. Ale nie ze wszystkim. Inicjator, wydawca ma dobre, przez wiele lat pracy dobrze spolszczone nazwisko. Był bowiem ten Muthwill jarganistą i zarazem rektorem w Strzelcach, później przeniósł się do Gliwic, gdzie zmarł pod koniec wieku XIX. Muthwill zebrał pieśni i napisał nuty do każdej z nich, Handel dał forsę i to niebylejaką, by pokryć kosztowny druk i sporządzenie nut, Mueller wreszcie wydrukował spory tom in quarto w swej nyskiej oficynie. Niewątpliwie wszyscy władali doskonale językiem polskim, może nawet przyznawali się do tej narodowości, a wszyscy napewne pragnęli zarobić na swym kancjonale.

Czy wydawanie książek w języku polskim nie było wtedy ryzykowne, wszak prądy eksterminacyjne szalały w najlepsze? Otóż nie. W kościele i w szkole germanizacji jeszcze nie stosowano. Jeszcze wówczas nikt nie mieszał się do języka polskiego w nabożeństwie. Zbiory pieśni kościelnych litografowane wydawano dwukrotnie w Opolu. Muthwill uczynił to pierwszy raz w druku i mógł to uczynić spokojnie, wszak była to era Bogedaina, który jako szef szkolnictwa zbuduje w latach najbliższych całą sieć szkół powszechnych i średnich, kładąc pod nie fundamenty tak solidne, że Bismarck, gdy przyjdzie je rozwalać, pokrwawi sobie dotkliwie grube paluchy. Rzecz ciekawa, że Bogedain w swej propolskiej działalności wychodził z założeń raczej moralnych, niż narodowościowych; wołał wszakże w landtagu pruskim: „jedynie nauką w języku macierzystym można uszlachetnić człowieka".

Ale inicjatorem głogowieckiego śpiewnika był właściwie nie Muthwill i nie Handel ani inny Mueller ani nawet Bogedain, ale ktoś jeszcze starszy i ważniejszy, bo — Jan z Czarnolasu. Skądże mu się to akurat na Śląsku i po tylu wiekach wzięło? Po prostu. Wielki ten artysta przełożył psałterz Dawidowy, a w nim psalm 90-ty dość ostatecznie znany: „Kto się w opiekę poda Panu swemu". Ten psalm wzięli za swą pieśń naczelną ewangelicy polscy. Dziś jeszcze w niejednej świątynce „wanielickiej" napotkać można porzucony na półce, wysmarowany paluchami szczęt gotyckiego z czasów renesansu wydania Psałterza. W połowie zaś ub. stulecia gorliwy, przepilny orędownik naszych protestantów, pastor Skrzypała z Międzyborza, alias Robert Fiedler, rzucił na rynek śląski kilka przedruków starych po ojcach Kancjonałów w Brzegu. Wyrazy „kancjonał" na oznaczenie śpiewnika katolicy nie używali w Polsce centralnej. „Melodie i Kancjonał" w wydawnictwie głogowieckim dowodzą może wpływu i styku z obyczajem polskich zborów ewangelickich.

Organista strzelecki i towarzysze nie stracili na swej imprezie. Rozeszła się migiem, ześpiewana do szczętu. Nie ponowiono jednak w następnych dziesiątkach lat wydania. Dlaczego? Śpiewnik Muthwilla był tylko „powszedni", a więc nie całkowity, nie wyczerpywał innych potrzeb śpiewaczych poza nabożeństwem kościelnym. Brakom wydawnictwa organisty zaradzić postanowił młynarz. W trzy lata po śpiewniku głogowieckim Karol Piekoszewski wydaje w Piekarach w r. 1850 swoją od lat przygotowywaną pracę: DOSTATECZNY ŚPIEWNIK KOŚCIELNY I DOMOWY, zawierający pół tysiąca z górą pieśni śląskich i ogólnopolskich. Znalazł od razu zaciekawienie ogólne. Wydania sypały się jedno po drugim, coś dziewięć do końca stulecia liczył sobie ten śpiewnik piekarski, który zyskał wielką popularność, bo obejmował nie tylko pieśni religijne, lecz i świeckie. Był obfity, zawierał ich pod dostatkiem.

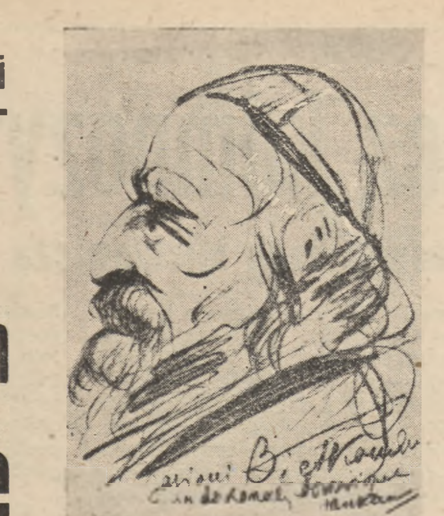
KAJETAN STOPA.

W następnym numerze:

Leszek Goliński, Eugeniusz Poniatowski i Wojciech Żukrowski

Felieton literacki

O biskupim koledze



Rysunek Jana Kasprowicza

Zaledwie pół roku różnicy było między nimi. Jeden urodził się w Szymborzu nad Goplem 12 grudnia 1860, drugi 7 czerwca w Pakości. Znaleźli się razem na jednej ławce gimnazjalnej w Poznaniu. W koleżeństwie tak ścisłym, jakie rzadko tylko się trafia. Nie tylko w jednej klasie obok siebie siedzieli, na wspólnej też mieszkali stancji. Na rogu Koziej i Jezuickiej, na drugim piętrze dawnego gimnazjum pojezuickiego. Bliskość nazwisk w alfabecie sprawiła, że wspólnie drżeli, gdy profesor, wyciągnąwszy notes zaczynał pytać w kolejności alfabetycznej.

Symbioza ta, mimo przerwy kilkuletniej, dotrwała do egzaminu dojrzałości, który znów składali w jednym terminie w Poznaniu. Żaden z nich w szkole prymusem nie był. Antek z Pakości nie wiedział jeszcze, czy tradycyjnie pójdzie na księdza czy raczej na profesora. Janek Kasprowicz też nie wiedział. Pozował na Byrona, zaczytywał się w Słowackim i Szekspirze, po polsku zrywał się w wierszach...

„Kasprowicz zapomina, że nie siedzi w karczmie na wsi!" — warczy po niemiecku profesor Quade.

— A pan zapomina — odpalił po polsku Kasprowicz — że nie siedzi przy kopycie. (Quade był synem szewca).

Wylali go. Doskonale. Bo mógł na własne oczy stwierdzić w gimnazjum w Opolu, jak reagują Ślązacy na poezję polską. Prof. Cytrynowski, renegatowi zresztą, nie tylko dał lekcji polskiego...

Rozeszły się na dobre drogi obu przyjaciół, ale przyjaźń przetrwała. Laubitz los pożałował w utęsknione infułaty, Kasprowicza namaścił na wielkiego buntownika w poezji, który pierwszy po Konradzie mickiewiczowskim ważył się tak odważnie z Bogiem.

Autor „Księgi Ubogich" już od dawna nie spoczywał na swej Harendzie w Poroninie, gdy wypadło mi odwiedzić przyjaciela, który niedawno został referendarzem starostwa w Gnieźnie...

— Długo nie mogłem się zorientować — mówił jowialny, światowy staruszek, ośmdziesięciolatek — jakie drogą pójdzie Janek, czy nie porzuci poezji i spraw społecznych dla plastyki? Bo smarował, gdzie tylko się dało. Chociażby tu!

I pokazuje nam jakiś księgi szkolnej z doklejonymi kartami na uwagi, dopiski. Młodzian w zapale twórczym wypełnił je portretami kolegów, mieszczan, Żydów, osobistości historycznych. Ma to tego. Lubił pazjami wypowiadać się na... talerzu okopconym...

— Groźne sytuacje — dodaje zarobliwie Laubitz — powiększał w mocnych oczach fakt, że Janek sam stawał po stronie babiny, przepraszając ją jeszcze za nieporządek.

Sanacja dokuczała wciąż Laubitzowi, uważając go za — burzymurka. Albowiem gorliwiec dubal i majątek swój i niestatnie w podziemiach, bali się tedy konserwatorzy, że się gotowo coś zwalić w prastarej Mieszkowej świątyni...

Oglądamy właśnie te odebrane nieboszczykom pamiątki, przeszedł do salonu przyjęć do gabinetu przez Purpurata. Często tam nie byłem! Całe muzeum w pakownych szufladach biurka...

Nie było wszak w kraju drugiego wykładowcy historii tak chętnie słuchanego i o tak oryginalnej metodzie wykładu...

Opowiadano, że kiedy Paderewski w pamiętnym roku 1918 zjechawszy triumfalnie do Wielkopolski złożył wizytę znakomitemu Laubitzowi...

Siedzimy w piątkę przy okrągłym mahoniowym stole, dwóch szlachcianek kanoniczek, biskup po środku i my dwaj...

A czy też panowie słyszeli kiedy o tzw. walce kulturalnej w Wielkopolsce?

Owszem, odpowiadam, słyszeliśmy. Ze to było za czasów Bismarcka, który próbował zniemczyć chłopa poznańskiego...

Janek Kasprowicz, postarzając „in vino veritas" na swój sposób objaśniał te stany maksymą. Ze prawdą my nie poznajemy w usposobieniu ludzików. Brutal, ordynus duchowy, uważacie, chwyta zawsze lampkę wina łapczywie, całą pański za brzuszek, człowiek kulturalny inaczej, czyni to subtelnie. O, tak...

I ujął kieliszek ruchem delikatnym za nóżkę. Kciukiem i wskazującym. KUJAWUS

II Festiwal Plastyki w Sopocie

Morze w malarstwie epok minionych — Xawery Dunikowski — Karol Larisch — Sztuka i Rękodzieło — Jan Nikofor — Grafika Meksykańska — Fotografia Krajoznawcza — Książka Francuska.

Obecny Festiwal Plastyki w Sopocie jest imprezą, która w znacznej mierze rozszerzyła program Festiwalu ubiegłego roku. Rezultaty zeszłoroczne zachęciły organizatorów do rozbudowy zakresu Festiwalu. Wprowadzono nowe działy, a w tym inowacje bardzo istotne dla historii polskiej plastyki: retrospektywy; — w tym wypadku wystawa twórczości wybitnego, a stosunkowo mało znanego artysty Larischa.

Pokazanie znów wszystkich rozdziałów twórczości artystycznej staje się dla zwiedzających małą encyklopedią. Wystawy Festiwalu poruszają szeroki wachlarz zagadnień — od dzieł o wartości historycznej okazów malarstwa XVII wieku — poprzez współczesną twórczość plastyczną artystów samouków i współczesnej sztuki ludowej. Grafika meksykańska o swoistej wartości i dzieła największego współczesnego artysty Picassa dają niezastąpioną możliwość przeglądu lub poznania zagadnień nurtujących sztukę.

Istnieje jeszcze drugi wgląd niemniej ważny, a doceniany w licznych dotychczasowych sprawozdaniach, które ukazały się w prasie. Jesteśmy świadkami „rewolucji" w muzealnictwie polskim. Analogicznie do przemian społecznych, nastąpiła zmiana funkcji muzeów. Z tych przybytków rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę ekspansja zabytków sztuki; ekspansja mająca na celu udostępnienie twórczości artystycznej nowym konsumentom. Kraj cały pokryły sieci trasy wy-



Karol Larisch: Półakt

staw objazdowych, trafiających do najbardziej peryferyjnych osiedli. Zdumiewająca jest frekwencja zwiedzających muzea w Polsce. W okresie letnim miejscowości letniskowe zapełniają się przybyszami z całej Polski, którym i w tym czasie ułatwia się styczność ze sztuką.

Festiwal podzielony został na dwa etapy, w których kolejno (z uwagi na brak miejsca) zobaczyć można ekspozycje. Obecnie mamy tu rzeźby Xawerego Dunikowskiego — obrazy, których tematem jest morze, — prace Karola Larischa — współczesną sztukę ludową, akwarele Nikifora — grafikę meksykańską, — fotografie krajoznawcze i książki francuskie.

W drugim etapie Festiwalu (którego otwarcie nastąpiło 4. VI. br.) znajdą miejsce wystawy: obrazów i ceramiki Picassa, malarstwa czeskiego, współczesnego malarstwa polskiego, międzynarodowa wystawa sztuki dziecka, ogólnopolska wystawa malarstwa o tematyce morskiej, wystawa modernistów. Te ekspozycje otwarte będą do 30 sierpnia br. dla zwiedzających.

Zespół pokazanych rzeźb najwybitniejszego naszego współczesnego rzeźbiarza Xawerego Dunikowskiego jest fragmentem zbiorowej wystawy z Muzeum Narodowego w Warszawie. Z tej okazji poświęcono wiele miejsca omówieniu artystycznej produkcji nestora polskiej rzeźby. Ekspozycja ta znalazła pod pewnym względem korzystniejsze warunki niż na wystawie warszawskiej. Widokiem tła morskiego wydobyto jeszcze silniej ekspresyjną monumentalność niektórych rzeźb — np. „Tchnienie".

Pokaz obrazów o tematyce morskiej najpełniej reprezentuje bogata twórczość Niderlandów w XVII w. Holendrzy, zżyci z morzem, z predylekcją malują morskie motywy i na tej kanwie rozwiązują swoje malarskie problemy. Obrazy takich marynistów niderlandzkich jak: Backuysen, J. van Goyen, W. van de Velde, ukazane w Sopocie, należą do szczytowych osiągnięć marynistycznych malarstwa niderlandzkiego.

Problem światła pasionuje reprezentanta malarstwa francuskiego C. J. Veructa (1712—1789). Obrazy jego — to „idealny krajobraz" wybrzeża, przesycony słoneczną atmosferą, spotęgowaną refleksami światła w wodzie.

Współczesne a raczej z okresu międzywojennego malarstwo przedstawia retrospektywna wystawa obrazów jednego z wybitniejszych polskich malarzy Karola Larischa (1902 — 1935). Twórczość Larischa, przerwana tragiczną śmiercią artysty, mało znana ogółowi, zebrana w monograficzną całość pozwala ocenić talent tego malarza, jak i prześledzić drogę rozwojową. Wczesne prace — to pilne studia, szkice transponujące dzieła Chardina, Veroneza i Rubensa, utrzymane w monochromatycznej gamie kolorystycznej, ustępują obrazom budowanym barwą i światłem. Przeważają wśród tych wysublimowanych kolorystycznie obrazów, o dużym poczuciu formy — kompozycje figuralne umieszczone w krajobrazie. Druga atrakcja Festiwalu — to wystawa akwarel artysty - samouka Jana Nikifora. Dobrze się złożyło, że pokaz ten znalazł swe miejsce w programie Festiwalu.

Hermetyzm Nikifora, wynikający z kalectwa, ukazuje nam twórczość oryginalną i zawsze świeżą. Nikifor żyje we własnym świecie, w którym hierarchii wartości jak i ich jakości nic nie jest w stanie zburzyć. Bliski mu jest cały otaczający świat, syntetyzowany i przeżywany w sposób, którego kryteria nasze kontrolować nie są w stanie. Wysoka artystyczna umiejętność redagowania przeżyć plastycznych — faktura akwarelowa wywołują asocjacje z średniowiecznymi iluminacjami rękopiśmiennymi. Posługuje się przy tym Nikifor prymitywnymi środkami technicznymi — pakunkowy papier, akwarele guziko-



Nikifor: Pan z walizką

we — wydobywając jednak całe bogactwo i szlachetność materii.

Odwaga i śmiałość redakcji kolorystycznej akwarel budzą niesłabnące zainteresowanie i podziw, dostarczają maksimum wrażeń estetycznych. Głęboko ludzka treść przeżyć „Matejki z Krynicy" (jak nazywa siebie Nikifor) przy całej prostocie ujęcia i bogactwie walorów malarskich najlepiej świadczy o klasie twórczości czołowego przedstawiciela „naiwnego realizmu w Polsce".

Współczesną twórczość artystów ludowych prezentuje wystawa sztuki i rękodzieła ludowego. Znaczenie tej wystawy leży w pokazie tak interesującym jak wycinanki i malowanki; zwłaszcza wycinanki, nie spotykane poza obszarem Polski, należą do specyficznie polskiej dziedziny, rodzimej twórczości ludowej.

Bogactwo stylizacji ornamentów wycinanek ustępuje lapidarnej a jakże przekonywającej redakcji postaci ludzkiej. Imperatyw twórczy, tak silny w kulturze naszego ludu, reprezentowany jest ponadto przez okazy tkanin i ceramiki.

Sztukę zagraniczną przedstawia grafika meksykańska, znana już z pobytu w Polsce i recenzji w czasopismach literackich. Supremacja tendencji propagandowych widoczna w całej twórczości t. zw. „warsztatu grafiki ludowej" znajduje swe uzasadnienie i konieczność w sytuacji socjalno - politycznej Meksyku.

Ekspozycja fotografii krajoznawczej, w której zdjęcia pejzażowe słabsze — za to dość dobrą klasę wykazują zdjęcia zabytków sztuki, wydobywające ich ekspresję i estetyczne skomponowanie.

Drugą imprezą zagraniczną — to pokaz artystycznych wydawnictw francuskich, zorganizowany przez Instytut Francuski w Polsce. Podziw budzą zwłaszcza reprodukcje barwne w monografiach współczesnych malarzy, znajomość ich twórczości w naszych warunkach umożliwiają jedynie ryciny reprodukowane. Tym też tłumaczy się żywsze zainteresowanie tymi wydawnictwami artystów i studentów szkół plastycznych.

Większość książek o bardzo wysokim poziomie artystycznym to edycje bibliofilskie o tym samym ograniczonym kręgu oddziaływania.

Sugestywne omówienie poszczególnych wystaw Festiwalu znalazło swe odpowiednie miejsce w katalogu. Żałować jedynie należy, że zamieszczone tam reprodukcje, z powodu nieodpowiedniego papieru ilustracyjnego, wypadły tak słabo.

Dobry plakat Festiwalu (gęsto go w Polsce spotykamy) znalazł swoje estetyczne rozwiązanie w pomyśle p. B. Świderskiej (studentka W. Szkoły Sztuk Plast. w Sopocie).

Stanisław Wiliński



Miłość! wolność!...
w dni moich rozkwicie
Duch mój
z nimi w ścisłą wszedł zażyłość:
Za mą miłość dam w zamianie
Życie,
Za wolności odzyskanie —
Miłość!

(Tłum. Władysław Sabowski.)

W roku bieżącym obchodzimy setną rocznicę śmierci największego liryka węgierskiego, Szandora Petöfiego. Poeta ten bierze udział w węgierskich walkach wolnościowych 1848—1849. W okresie tym styka się z Polakami i zostaje adiutantem gen. Bema. Przyjaźń polskiego generała z węgierskim poetą powoduje, że ten ostatni przerzuca swoje uczucia na cały naród polski. Wspólne umiłowanie wolności i tęsknota za lepszym jutrem oto czynniki, które czynią Petöfiego bliskim Polakom. „ODRA" uczci „Rok Petöfiego" osobnymi omówieniami twórczości i działalności wielkiego Węgra.

Teatr w Jeleniej Górze

Apologia proletariackiej dziewczyny

Wszystkie niemal teatry w Polsce w miesiącach wakacyjnych pauzują. Artyści teatru jeleniogórskiego mieli swoje urlopy w maju. Przez cały czerwiec i podczas wakacji przedstawienia odbywają się tu bez przerwy. Ostatnio wystawiono tutaj „Pygmaliona" G. B. Shaw'a.

Jak wiele sztuk wielkiego Irlandczyka tak i „Pygmalion" służyć może za przykład genialnej umiejętności artystycznego przetworzenia znanych motywów na język sceniczny. Mityczny rzeźbiarz i jego miłość do wykonanej przez siebie rzeźby kobiety, której ożywienie udaje mu się wymodlić u Afrodyty, ma już w swoim pierwotnym, mitologicznym ujęciu cechy melodramatyczne. Przemianowanie mitu na życie udało się Shaw'owi tak, jak tylko jemu udać się mogło. Można powiedzieć, że sztuka jest oryginalną i żywą trawestacją mitu.

Jak wiele sztuk Shaw'a, ociera się także i „Pygmalion" o melodramat. Kto inny, rozwijając podobną akcję, stworzyłby może melodramat całkiem zgoła taniego gatunku: oto on, grubijanin i antyfeminista, i co tam jeszcze, doznaje nagle w sercu dziwnego uczucia; oto ona, wrzaskliwa i czupurna, przypadkowa uczennica profesora, zakochuje się w swoim nauczycielu.

Ileż to na podobnych motywach zbudowano tanich sztuczydeł i romansideł. W swoim pięcioaktowym romansie wyzwala Shaw i rozwija wokół tanich niekiedy motywów tak wspaniałe bogactwo myśli, przydaje sentymentalizmowi, który potrafi wyśmienicie ociosać, tak bogatą problematykę, że w bogactwie tym zatraca się wszelka taniocha i „pospolitość przestaje skrzeczeć".

Zwycięstwo Elizy Doolittle jest podwójnego rodzaju. Jest z jednej strony zwycięstwem kobiety nad zatwardziałym kawalerem o co mniejsza, z drugiej zaś — zwycięstwem dziewczyny z ludu nad klasą mieszczańską.

Profesor Higgins obszedł się z biedną kwiaciarką nie jak z człowiekiem, ale jak z rzeczą. Tu znowu, podobnie jak w innych swoich sztukach, z właściwą sobie w takich wypadkach gorliwością broni Shaw poniżonej kobiety. I staje się tak, że zwyczajna uliczna kwiaciarka odnosi triumf nad poważnym i znanym naukowcem. Nad nieczułym na kobiety oryginałem. Nad klasowo o całe niebo wyżej stojącym człowiekiem.

Jest taka bliżej nie znana czytelnikowi, ani widzowi polskiemu sztuka Shaw'a, pod tytułem „Mezalians" (fragment jej w przekładzie Anzelma Gorywody drukował tygodnik „Ogniwa"), w której pewien bogacz proponuje małżeństwo ubogiej cyrkówce, nawiasem mówiąc, Polsce. Shaw udowadnia, że gdyby owa cyrkówka zgodziła się wyjść za mąż za owego kapitalistę, popełniłaby mezalians. Będąc bowiem kobietą uczciwą, niezależną, oklaskiwaną co wieczór przez tłumy, posiada kwalifikacje reprezentujące znacznie wyższe wartości, aniżeli te, które przedstawiają pieniądze owego bogacza. Pozorny paradoks. Ależ jakaż wspaniała apologia kobiety! Kobiety, którą za pieniądze usiłuje kupić bogacz.

W „Pygmalionie" broni Shaw kobiety nie przed kapitalistą, lecz przed... powiedzmy żartobliwie... suchym naukowcem. Chociaż w ostateczności sprawa także sprowadza się do pieniędzy. Profesor Higgins założył się z pułkownikiem Pickeringiem o pieniądze, że ucząc Elizę poprawnej wymowy zrobi z niej księżniczkę. Ale te pieniądze miały opłacić koszta utrzymania Elizy w domu Higginsa. Dlatego nazwijmy rzecz inaczej: Shaw broni dziewczyny proletariackiej przed reprezentantem innej, wyższej klasy społecznej (Higgins — mimo całą swą nonszalancję — nie odważyłby się postąpić podobnie z kobietą ze swej sfery).

Higginsowi udało się dopiąć celu. Stało się tak, jak przewidział. Ale stało się także i to, czego nie przewidział. Zaplątał się we własne sieci.

Eliza zwyciężyła. Zwyciężyła także odtwórczyni jej roli w teatrze jeleniogórskim **Celina Kubicówna**. Młoda artystka debiutowała przed dwoma laty w teatrze katowickim, gdzie ukończyła studio teatralne. Do pewnego stopnia sama życiem swym przypomina Elizę Doolittle.

Profesora Higginsa zagrał i zarazem wyreżyserował sztukę **Ryszard Wasilewski**. Z jednego i drugiego wywiązał się — summa cum laude.

Aleksander Widera.

Kronika kulturalna Wrocławia

WROCŁAW. (gg) 2 lipca w kuluarach Hali Ludowej nastąpiło otwarcie Wystawy W, zorganizowanej z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Przeciwgruźliczego i Ministerstwa Zdrowia. Jednym z realizatorów wystawy, która uprzednio znajdowała się w Warszawie, jest dr Wielchorski. Organizacją wystawy na terenie Wrocławia zajął się dr T. Stępniewski — delegat Min. Zdrowia. Uroczystego otwarcia dokonał prezydent m. Wrocławia Kupczyński. W uroczystości wzięli udział m. in. przedstawiciele świata naukowego, samorządu, O. R. Z. Z., Z. U. S., Służby Zdrowia i prasy. W ramach wystawy oprócz ciekawych plansz i wykresów, wyświetlany jest również dydaktyczny film pt. Historia jednego spotkania.

Wystawa cieszy się wśród społeczeństwa wrocławskiego wielkim zainteresowaniem.

● Klub Międzynarodowej Prasy i Książki wystawił w tym miesiącu ciekawe reprodukcje 60 obrazów współczesnych malarzy radzieckich m. in. Gerasimowa, Sierowa i Taidze.

● Przed kilkoma dniami przybyła do Wrocławia delegacja Wolnej Młodzieży Austrii, która brała uprzednio udział w odgruzowaniu Warszawy. Po zwiedzeniu Wrocławia wycieczka uda się na teren Dolnego Śląska, gdzie zapozna się z życiem wsi dolnośląskiej.

● Wielkim powodzeniem cieszyły się we Wrocławiu występy zespołu artystycznego Domu Wojska Polskiego. Impreza ta zgromadziła do Hali Ludowej około 10.000 widzów. Bogaty program tworzyły m. in. występy chóru, baletu i solistów. Cały zespół liczy przeszło 150 osób.

Krótkie spięcia

Jeszcze o pasjach

Niedawno został tutaj poruszony temat małych a niewinnych pasji ludzkich, lecz przy tej sposobności zapomnieliśmy wymienić jeszcze jedną taką pasję, a mianowicie pasję tworzenia rzeczy jak tylko można najmniejszych. Niedawno na przykład prasa podała, że gdzieś w Holandii jakiś amator skonstruował kompletny aparat radiowy wielkości pudełka od zapałek. Niewątpliwie ludzie rozsądni mogą śmiało zapytać: „No dobrze, ale na co to...?"

Na co? Pewnie, że zbyt wielkiej praktycznej wartości to nie ma, ale też ów Holender nie czynił tego w jakimś utylitarnym celu, lecz dla zadowolenia swej pasji tworzenia rzeczy możliwie jak najmniejszych. Tylko — dlaczego to ludzie robią...?

Gdy zaglądniemy do jakiejś obszerniejszej encyklopedii, to przekonamy się, że owa pasja jest stara jak świat. Dajmy na to już Pliniusz Starszy wspomina, że niejaki Myrmecides wyrzeźbił z kości słoniowej wóz, ciągniony w zaprzęgu przez cztery konie oraz statek z całą załogą na pokładzie, wszystko w tak małych rozmiarach, iż całość mogła przykryć pszczoła swymi skrzydełkami.

Za czasów znowu królowej Elżbiety pewien złotnik londyński, Mark Scaliot, sfabrykował zamek wraz z kluczem z żelaza, stali i miedzi, wszystko złocone z jedenastu części. I zamek ów ważył tyle, ile ziarnko pszenicy.

Inny ówczesny złotnik skonstruował srebrny naszyjnik, złożony z czterdziestu trzech ogniw, który opasywał ściśle „szyję" muchy. Mucha zaś podobno bez najmniejszych trudności szybowała z tym łańcuchem w powietrzu.

Za czasów Piotra Wielkiego zyskało sobie sławę kilku ślusarzy z Tuły, którzy znowu skonstruowali armatę wraz z jaszczykiem zaprzęgiem sześciokonnym, — wszystko wielkości orzecha włoskiego.

W muzeum w Halston, w hrabstwie Shropshire, w Anglii, znajduje się pestka z brzoskwini, na której jednej stronie jest wyrzeźbione popiersie Karola I, zaś na drugiej orzeł, przebity strzałą z napisem: „Ja sam dostarczyłem piór do tej strzały". Pestkę poddał tej operacji znany współczesny grawer Charles Riot.

A znowu w muzeum kopenhaskim można podziwiać pestkę z czereśni, na której ktoś kiedyś wyrzeźbił aż dwieście (!) najrozmaitszych głów ludzkich.

I tak dalej. Podobne przykłady możnaby mnożyć niemal w nieskończoność.

Najbardziej nieoczekiwane *przedmioty fabrykowali ci nadzwyczajni pasjoniści a już cały niemal legion tworzy znowu ich specjalna odmiana, czyli ludzie, którzy się uwzięli zapisywać fantastycznie drobnym maczkiem malutkie skrawki papieru i umieszczać potężne rozdziały powieściowe na odwrocie znaczka pocztowego.*

Ale dlaczego to wszystko...?

Widocznie w człowieku coś tkwi, co mu każe (od czasu do czasu) odwracać się od kolosalności, od gigantyczności, od jakiegoś „olbrzymstwa" i szukać wzruszeń estetycznych (bo przecież o takie wzruszenia tylko tutaj chodzi) w tym przedziwnym sui generis minimalizmie.

A czy cała nauka „minimalistyczna", począwszy od mikrobiologii aż po atomistykę, nie wypływa może z tych samych przesłanek...?

Prawdopodobnie. Nie śmiejmy się więc z tych „minimalistów", że są tacy a nie inni, gdyż ich ów „minimalizm" jest nie tylko dowodem artyzmu, ale kto wie, czy także nie pewnym wyżyciem się podświadomych głębokich naukowych zainteresowań.

NIEJAKI X.

Wśród CZASOPISM

Sezon „nie-ogórkowy" — Nagrody — „Twórczość"

Znamieniem gorączkowego tempa, w jakim żyjemy od roku 1945, jest fakt, że dwa miesiące wysokiego lata — lipiec i sierpień — nie stanowią bynajmniej okresu zastoju i senności. Mimo że częściowo wyludniają się miasta a zaludniają letniska, mimo że wczasy zorganizowane i indywidualne stają się coraz powszechniejsze i przestały obejmować tylko warstwy uprzywilejowane lub snobujące się letnimi wyjazdami, które kiedyś w opinii pewnych ludzi należały do „dobrego tonu", mimo to życie w całym kraju i we wszystkich dziedzinach bije nie osłabionym tętnem. Do zjawiska tego zdołaliśmy się już przyzwyczaić i weszło ono w nasze życie niemal nie zauważone. Świadczy to o zaniknięciu jeszcze jednego drobnego rysu ustroju kapitalistycznego, jakim był zawsze sławetny „sezon ogórkowy", w którym nic się nie działo a ślęczący przy biurkach redaktorzy daremnie pocili się nad wyciskaniem sensacji z dnia, w którym nic się nie działo. Sytuacja ta przypomniała mi się żywo pod wpływem niezwykle plastycznego opisu takiej sceny w świeżo wydanej w polskim przekładzie powieści Karola Czapka „Inwazja jaszczurów".

Nie słabnie także tętno życia literackiego w kraju. Literaci wprawdzie także rozjeżdżają się na wypoczynek, ale ten wypoczynek jest przeważnie wypoczynkiem po zajęciach literackich ubiegłych miesięcy i nie stanowi okresu rozbratu z piórem czy maszyną do pisania. Znać to wyraźnie po czasopismach literackich, których treść nie ulega zmianom i które nie muszą łatać żadnych luk w redakcyjnym materiale albo, jeśli luki takie powstają, wypełniają je w sposób interesujący. Zresztą wbrew dawnym tradycjom w ciągu tych dwóch miesięcy zawsze się coś w literaturze dzieje. Przyznawane są nagrody literackie, rozpisywane są konkursy itp. Od czterech lat największą sensacją literacką lipca jest nagroda *Odrodzenia*, która w tym roku przypadła Mieczysławowi Jastrunowi. Wokół tej nagrody zawsze toczą się dyskusje przed jej przyznaniem i po, zawsze jest sporo zadowolonych z decyzji jury i sporo niezadowolonych, przy czym od roku tematem dyskusji są jeszcze książki „wyróżnione" przez jury, których lista już po raz drugi spotyka się z licznymi uwagami krytycznymi. W tym roku również wiele się o tej nagrodzie mówi. Jastrun jako laureat nie jest tu wielką niespodzianką, chociaż wielbiciele świetnej prozy Adolfa Rudnickiego nie mogą zrozumieć, dlaczego już druga jego książka nie spotkała się dotychczas z jakimś poważniejszym wyróżnieniem, dlaczego i w tym roku ustąpiła miejsca opowieści biograficznej. Kto wie, czy samemu Jastrunowi nie byłaby milsza nagroda przyznana mu nie za tę książkę, lecz za jego bogatą twórczość poetycką, stanowiącą mimo zastrzeżeń młodych wybitne zjawisko w naszej literaturze. Ale można powiedzieć, że nagroda „Odrodzenia" wieńczy także i poetę. Bo Jastrun, gdyby nie był tej miary poetą, jakim jest, nie napisałby takiej książki o Mickiewiczu. Warto jednak zwrócić uwagę, że o książce Jastruna nie wypowiedziała się jeszcze nasza polonistyka. Dotychczasowe omówienia tej książki (Pollak w *Kuźnicy*, Dąbkowska w *Odrodzeniu*) są raczej impresjami na jej marginesie i stanowią tylko ocenę jej wartości literackich. Stworzony przez Jastruna portret Mickiewicza musi być jednak poddany jeszcze ocenie filologicznej, skontrolowany od strony źródeł, zużytkowanych materiałów, ich wykorzystania i interpretacji. Jestem zdania, że takie oceny tej książki powinny się również ukazać w tygodniowych pismach literackich, by nie zaginęły całkowicie w naszych nielicznych pismach historyczno-literackich, które nie wychodzą poza ciasny krąg specjalistów.

Powyższe uwagi o nagrodzie tygodnika *Odrodzenie* rzucone były gwoli aktualności. Gdyby sprawa nagród nie wykraczała poza ramy przeglądu czasopism, dałoby się na ich temat więcej jeszcze napisać. Bo to i Warszawa ostatnio rozdzielała po raz drugi swoje nagrody, obdarzając nimi świetne pisarki Polę Gojawiczyńską i Janinę Broniewską (uwaga: Broniewska jest drugą po Szelburg-Zarembinie laureatką jedynej w Polsce nagrody za twórczość dla dzieci), bo to Gojawiczyńska już przeszło piętnaście lat temu zasłużyła książkami „Powszedni dzień" i „Ziemia Elżbiety" na nagrodę Śląska, bo Katowice pół roku już zwlekają z przyznaniem swojej nagrody literackiej, która zwolna staje się mitem.... Ale dajmy spokój tym rozważaniom.

Przypomnijmy natomiast *Twórczość*, o której długo nie było już na tym miejscu mowy. W chwili, gdy piszę te sprawozdania, do jednej z najbardziej uczęszczanych miejscowości wypoczynkowych w Polsce nie dotarł jeszcze zeszyt lipcowy tego pisma. Może jeszcze nie wyszedł. Poprzestać więc trzeba na dwóch zeszytach ostatnich, piątym i szóstym. Słów parę należy im poświęcić choćby dlatego, że redaktor tego pisma, Kazimierz Wyka, kiedyś biadał, że większość ciekawych prac drukowanych w naszych czasopismach przepada jak kamień rzucony w wodę. A właśnie dwa ostatnie zeszyty *Twórczości* zawierają takich prac sporo. Trzeba o nich przypomnieć, bo może czytelnicy mają teraz więcej czasu i chętnie zaglądną do nie przeczytanych jeszcze numerów tego miesięcznika. Zapewniam, że *Twórczość* czytana spokojnie co dzień „po kawałku" w słońcu i w otoczeniu zieleni stanowi lekturę wprawdzie mało „wczasową", ale za to bardzo interesującą. I tak polecić trzeba dwie najlepsze chyba dotychczas prace wydrukowane u nas w pismach z okazji roku Słowackiego — Wyki „O Juliuszu Słowackim" i Wilhelma Macha „Podróż na Wschód". Czyta się te essaye z tym większą satysfakcją, że sąsiaduje z nimi przestarzałe nudziarstwo Jana Gwalberta Pawlikowskiego o „Królu Duchu" (nr 5). Inna okolicznościowa praca to szkic Leona Gomolickiego „Wojnarowski - Wallenrod-Połtawa", zasługujący na uwagę ze względu na obfitość dobrej informacji historyczno-literackiej i doskonałe powiązanie tematu literackiego z tłem społeczno-politycznym epoki. Gomolicki pisze już w nrze szóstym, w którym na początku znajdujemy dwie doskonałe pozycje publicystyczne dotyczące sprawy pokoju: Anny Seghers „Wrocław i Sante-Chapelle" oraz Zygmunta Kałużyńskiego „Notatki z Kongresu Pokoju". Są to prace różne charakterem, ale rzecz Kałużyńskiego wyróżniłbym za żywość i bezpośredniość ujęcia. Sporo miejsca w tym samym zeszycie zajęły cenne i pasjonujące jako lektura wspomnienia Aleksandra Sierebrowa (A. N. Tichonowa) o Gorkim, Szaliapinie i Stanisławskim. Interesującym się zagadnieniami literatur zachodnich polecić można dwie prace: o literaturze francuskiej Z. Kałużyńskiego „O literaturze wielkiego konfliktu pokoleń" (na marginesie krytyki książki Alaina Fourniera „Mój przyjaciel Meaulnes") i Stefana Morawskiego o literaturze angielskiej (ściśle o poezji) lat 1890—1939 „Kipling—Yeats—Auden" (zeszyt 6). Osobna pozycja to dwa szkice poświęcone sztuce. W tymże numerze Mieczysław Porębski szkicuje historię sztuki polskiej w ostatnich latach trzydziestu („Ku sztuce nowoczesnej") a Kazimierz Wyka daje bardzo interesujące, wnikliwe i trafne uwagi o sztuce plastyków-amatorów.

Brakiem omówionych tu zeszytów *Twórczości* jest pustka na szpaltach poświęcanych dotychczas recenzji. Ale to chyba przejściowe. Bor.

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry", Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II piętro. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73
R 019699